

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 27.V.62 r.

Nr 21 (221)

Cena 1 zł

KONRAD FREIDLICH

POWSZECHNY KOMPROMIS

Biblioteka Powszechna, mam na myśli serię książeczek opublikowanych przez najrozmaitsze, współpracujące chyba z sobą wydawnictwa, gdyż każdy tomik zaopatrzony jest w taką samą, cdytorską winietę, obchodząc będzie w najbliższym czasie jubileusz setnej pozycji. Tyle właśnie woluminów, czy raczej niemal tyle, dzieli nas od pierwszego tytułu, sympatycznej powieści Poli Górawczyńskiej pt. „Dziewczęta z Nowolipki”, dziś bestselleru już tylko dla dorastającej młodzieży. Jest to jubileusz, którego może nikt nie zauważy, a może też zostanie zauważony i wówczas, jak to miało miejsce przy narodzinach trzydziestomilionowego obywatela Polski, zajdzie kłopot, komu przypisać laurkę, gdyż uroczystych tytułów może być kilka, rozwój serii postępuje bardzo dynamicznie naprzód, w księgarniach pojawia się naraz po kilka pozycji.

Nie jest to jedyna seria drukowana w tej chwili w Polsce, pod tym względem panuje dość już głęboko zakorzeniona moda. Mam tu na myśli przede wszystkim bardzo staranny cykl „Powieści XX wieku” stanowiący przegląd interesujących pozycji współczesnej prozy światowej i dobrze zestawioną „Bibliotekę arcydzieł”, która przynosi wybitne dzieła klasyków od Homera do Rudyarda Kiplinga.

Każda książka serii zawiadamia nas, że tytuły zostały wybrane „na podstawie ankiet przeprowadzonej wśród najwybitniejszych polskich pisarzy, krytyków i historyków literatury”. Dodajmy wreszcie, że niemal wszystkie wydawnictwa publikują na własną rękę, tzn. bez współpracy instytucji konkurencyjnych, rozmaite serie książek. Ogromną i zasłużoną popularnością cieszy się celofanowa seria powieści PIW, która niezmiennie przynosi autorów drukowanych w Polsce po raz pierwszy obok wyborów wierszy dawno już wyczerpanych lub też publikowanych u nas po raz ostatni przed wojną. To samo wydawnictwo drukuje miniatury tomików prozy w ramach tzw. serii „Kozioroża”. Rów nie poważnie przedstawia się biblioteka „Nike”, seria bestsellerów światowej prozy wydawana w małym, szczególnie dobranym formacie przez „Czytelnika”. Mania cykłów edytorskich przekroczyła zresztą barierę beletrystyki i poezji, wdarła się na teren literatury naukowej i popularnonaukowej mamy „Bibliotekę Problemów” i cykl podręczny „Iskier” i



„Wiedzy Powszechnej” itd. itd. Wymienimy tu jeszcze jednym tchem serie literatury rozrywkowej i sensacyjnej, owe wszystkie „Labirynty” i „Srebrne Kluczyki”, „Jamniki” i „Sensacje XX wieku”, „Miniatury morskie”, „Opowieści za 5 złotych” i „Tygrysy”. Powołane cykle nie są przeze mnie wymienione wyczerpująco, jest ich o wiele więcej, ale już choćby ta ilość obrazuje rozmiary zjawiska, a popularność każdego z nich świadczy wymownie, że edycje nie są zawieszane w próżni, a każdej idącej na półki książce odpowiada zapotrzebowanie

Dalszy ciąg
na str.
7

Na początku było ich sześćset. Dziariusz wydarzeń roku czterdziestego piątego podaje: „Pierwsza nara-da członków PPR — około sześćset osób”. W trzy lata później czytamy: PPR w Łodzi liczy ponad 36 tysięcy. Tych sześćset zaczynało. Uruchamiało fabryki. Organizowało szkoły. Porządkowało. W tym pierwszym roku po wojnie wszystko wyglądało inaczej. Miasto było inne i ludzie inni. Jedni pilnowali fabryk, znosili części maszyn, dzielili dworską ziemię, drudzy czekali, jeszcze inni bawili się i

Pierwszy batalion

przeplajali tysiące, w Grand-ee oglądali półnagie tancerki. Ci, którzy pracowali, spożywali okropne dania w taniach stołówkach a drudzy pili szampan. Ginęli ludzie i wyrastały fortuny. Pełnomocnik rolny, członek PPR, robotnik odczytywał w pod-łódzkiej wsi bezrolnemu chłopu akt nadania dworskiej ziemi. Ten mówił, jak notuje kronikarz: „Proszę łaski, proszę łaski, wielmożnego pana. Może

jeszcze raz, żeby głodzi...”. A z tyłu celował w pełnomocnika czarny „partyzant”. Ja nie chcę pisać lirycznie. Ja nie mam prawa tak pisać. Przybyłem do Łodzi w czterdziestym piątym, gdy tamci już tu byli. Mówimy dzisiaj: PPR w Łodzi powstała dwadzieścia lat temu. Ale oni są starsi. Podjęli tradycję działaczy KPP i PPS, najlepsze i najbardziej postępowe tradycje SDKPiL. Ale oni są jeszcze starsi, kontynuują wszystkie społeczne i narodowe tradycje, jeżeli tylko chodziło w nich o postęp i sprawiedliwość. Ja nie należałem do tych sześćset. Należę do tych, którzy w powojennej fali szukali chleba w tej odrodzonej i nowej Ziemi Obiecanej. Miasto nas przyjęło, miasto dało nam pracę, a tamci przykład. Bez pracy i poświęcenia tego pierwszego batalionu, nie by się nie stało. W tym roku — czterdziestym piątym — zaczynał batalion sześćset ludzi. Potem było ich tysiące. Ilu z tych tysięcy padło od kul zradzieckich? Ilu osierociło dzieci, żony? Nasze miasto

było w tym roku stolicą. Dzieliło tę godność z Warszawą. Przepliwali przez nasze miasto różni ludzie. Życzliwi i nieżyczliwi. Fałszywi i niefałszywi. Obserwowali, oceniali. Czy pamiętacie pierwsze żarówki, które jednego wieczoru zabłysły na ulicach Łodzi? Rozdarły się ciemności i miasto stanęło w świetle. Narodził się nowy dzień.

Ja się chcę powstrzymać od liryzmu. Dziariusz wydarzeń roku czterdziestego piątego jest suchy i rzeczowy. Ale w tej rzeczowości tkwi liryzm. Przeczytajcie ten zapis z „Rzeczypospolitej”: „14 lutego 1945 r. Od kilku dni kursują już dwie pary pociągów z Łodzi do Kolaszek... W najbliższym czasie zostanie uruchomiony trzeci pociąg... Pierwsze żarówki, pierwszy pociąg. I inne zapisy: 25 stycznia: ruszają pierwsze tramwaje; 28 stycznia: uruchomienie gazowni; 28 stycznia: uruchomienie Zakładów Scheiblera; 24 stycznia: pierwszy nu-

Dalszy ciąg
na stronie 2

ZBIGNIEW NIENACKI

Kaliskie spotkania i nieporozumienia

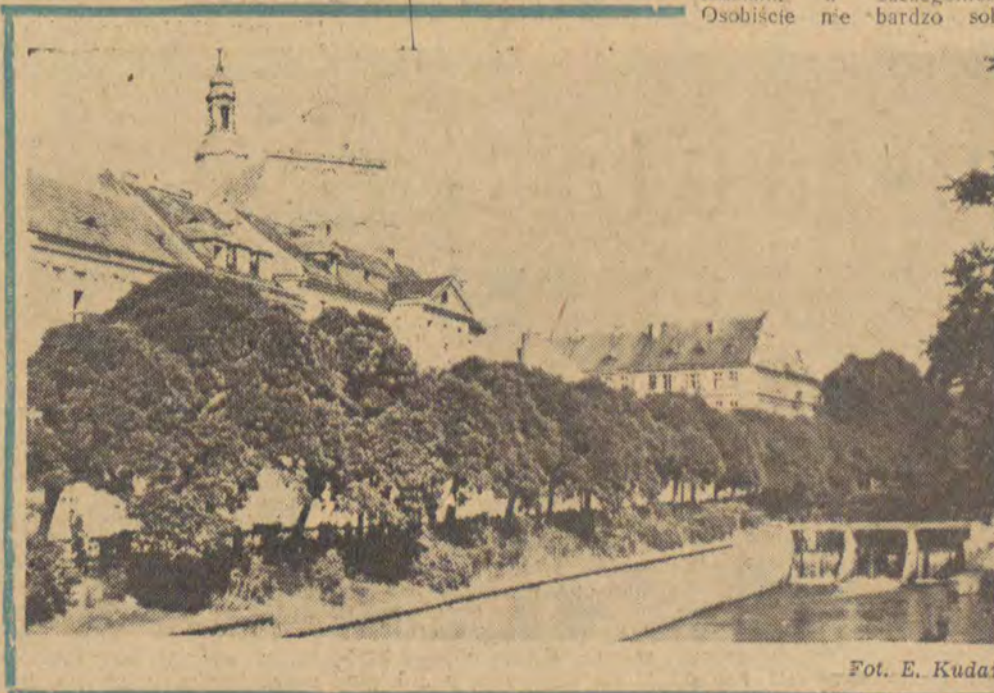
Z początku było dość nieprzyjemnie. Padł deszcz, wiał zimny wiatr, nocami w ogromnym parku kaliskim przeraźliwie krzyczały pawie jak w „Don Juanie” Frischa, którego sztukę pokazano jednak dopiero na końcu. Z początku — powiadam — było dość nieprzyjemnie. Okazało się, że oprócz sprawozdawcy z łódzkiego oddziału PAP i mnie, z Łodzi nie przyjechał na II Kaliskie Spotkania Teatralne żaden z przedstawicieli łódzkiej prasy codziennej, żaden z recenzentów tych gazet. A ponieważ dwa dni Spotkań poświęcone były właśnie Łodzi — musiałem wysłuchać w związku z tym wielu złośliwych uwag na temat zainteresowania łódzkich krytyków teatrami w ogóle, a teatrami łódzkimi w szczególności. Osobiście nie bardzo sobie

wyobrażam, jak można ocenić łódzkie spektakle nie widząc tego, co dzieje się w teatralnej Polsce? Najlepiej oczywiście nigdzie nie jeździć, nie nie oglądać, wówczas będzie można pisać — jak to jest w zwyczaju naszych łódzkich recenzentów — że w Łodzi jest najlepiej albo zgoła... najgorzej.

Tyczy to także kierowników literackich teatrów łódzkich a także dyrektorów artystycznych. Kierownicy literacy i dyrektorzy przyjeżdżali do Kalisza co najwyżej ze swymi teatrami. A przecież nie zaszkodziłoby posiedzieć przez te osiemnaście spektakli, podpatrzeć to i owo, zwrócić uwagę, co się dziś w teatrach grywa i jak to się sprawdza na scenie, co brzmi współcześnie i co warto grywać, a co brzmi fałszywie, i czego grywać nie warto. Daliłóg, może mniej byłoby potknięć i niewypałów. Ten fajerwerk najróżniejszych nazwisk — Crommelynck, Apollinaire, Ionesco, Millington Synge, Corneille, Arbuzow, Röhles, O'Neill, Bücher, Frisch, Wiszniewski — że wymienię ich jednym tchem — winien był przylegnąć tu wszystkich, kogo naprawdę interesuje Teatr i kto z jakąś głębszą myślą chce układać repertuar swego teatru.

A jednak krzesła łódzkie świeciły pustkami. Piszę to oczywiście metaforycznie, bo nie było pustych krzeseł. Kalisz bardzo przeżywał imprezy teatralne, o bilety na spektakle toczono boje.

Dalszy ciąg
na str. 6 i 7



Fot. E. Kudaj

PIERWSZY BATALION

Dalszy ciąg
ze str. 1

mer gazety „Wolna Łódź”; 11 lutego: inauguracja pierwszej szkoły średniej — Gimnazjum Miejskiego na ul. Sienkiewicza 46; 28 lutego: 200 mierniczych wyruszyło z Łodzi na teren województwa dla przeprowadzenia reformy rolnej; 11 lutego: w Teatrze Wojska Polskiego pierwsze przedstawienie sztuki „Radey pana Radey” Bałuckiego; 18 marca: otwarcie Biblioteki Publicznej przy ul. Andrzeja 14. 24 maja: dekrety o utworzeniu UL i PL.

Powtarzam: ten dziarsz jest rzeczowy; zawiera suche informacje: wyruszyło w teren dwustu mierniczych, trzystu agitatorów. Ale kto ich wysłał w teren? Kto kazał im iść na głuchą wieś? Kto kazał robotnikom pilnować fabryk? Ilu z nich przy tym straciło życie? Czy więc dziarsz tego roku zawiera tylko indeks wydarzeń, czy też coś więcej? W tym rejestrze na pierwszy plan występuje człowiek, jego poświęcenie, jego bohaterstwo. Kto utrzymał kronikę tego roku? Czy tylko jeden film? Jedna książka? W jaki sposób ocenić ten rok, skoro to wszystko, co dzisiaj oglądamy, uczelnie wypełnione młodzieżą, nowe osiedla, nowe zakłady, i to wszystko, do czego zmierzamy, bierze swój początek z tamtych niezapomnianych miesięcy, z trudu i zachęty tego pierwszego batalionu?

T. P.



ROZMOWA ODGŁOSOW Z:

doc. dr Jerzym KROW

kierownikiem Katedry Chemii
Radiacyjnej Wydz. Chemicznego
Politechniki Łódzkiej

- 1. NAJMŁODSZEJ ŁÓDZKIEJ PLACÓWCE NAUKOWEJ
- 2. BADANIACH NAD PROMIENIOTWÓRCZOŚCIĄ
- 3. CHEMII RADIACYJNEJ W SŁUŻBIE CZŁOWIEKA
- 4. NOWYM TYPIE CHEMIKA-SPECJALISTY

— Przed niespełną dwoma miesiącami po czteroletnich studiach naukowych za granicą, powrócił Pan do Łodzi? Jak zastał Pan Profesor uczelnię i miasto?

— Odmłodniałe, czego nie mogę powiedzieć o sobie.

— A swoją Katedrę?

— Katedra Chemii Radiacyjnej ma dopiero sześć tygodni i powstała w związku z moją specjalizacją naukową.

— Podobno otrzymał Pan w Anglii tytuł już z kolei tytuł doktorski?

— No, z tą ilością doktoratów nieco pani przesadzila. Tytuł doktora nauk chemicznych uzyskałem pięć lat temu na Politechnice Łódzkiej, a doktorat z chemii luminescencji w roku 1950. Ostatnio w Anglii otrzymałem tytuł doktora filozofii w zakresie nauk chemicznych a następnie w Kanadzie specjalizowałem się w dziedzinie chemii radiacyjnej, na znanym Uniwersytecie w Saskatoon.

— Jak mnie poinformowano Katedra Chemii Radiacyjnej PL jest nie tylko najmłodszą ale i jedyną w kraju. Jaki jest zakres działania tej nowej placówki akademickiej?

— Przede wszystkim parę słów wyjaśnienia. To prawda, że nasza katedra jest pierwszą i jak dotąd jedyną w kraju w tej specjalności. Nie znaczy to jednak, że inne placówki naukowe w Polsce nie zajmują się tą gałęzią wiedzy. Mam tu na myśli przede wszystkim Instytut Badań Jądrowych PAN i Instytut Chemii Przemysłowej w Warszawie. Działalność mojej katedry dotyczy chemii radiacyjnej, tj. nauki zajmującej się efektami

ty chemiczne z niej powstające. Ja np. podczas swego pobytu w Anglii, u profesora Daintona na Uniwersytecie w Leeds, wykonałem prace z dziedziny radiolizy wody.

— Popularnie mówiąc, pracował Pan Profesor nad rozkładem wody pod wpływem promieniowania. Jaki to ma związek z przyszłą pracą naukową Katedry?

— W tej chwili na całym świecie prowadzi się badania na temat wpływu promieniowania na organizmy żywe. Ponieważ organizmy te składają się z przeważającej części z wody, należy wiedzieć, co się będzie działo w czasie jej radiolizy, aby zbadać reakcje tkanki żywej na promieniowanie.

— Pasjonująca nauka. Gdybym była młodszą, wybrałabym tylko ten kierunek studiów. Proszę o krótką informację na temat programu działalności katedry?

— Oprócz prac teoretycznych planujemy daleko idącą współpracę z Katedrą Chemii Polimerów i katedrami zajmującymi się sprawami polimerów. Chemia radiacyjna bowiem znalazła olbrzymie zastosowanie w dziedzinie polimerizacji. Możemy np. inicjować polimerizację (otrzymywanie związków wielocząsteczkowych stanowiących podstawę nowych tworzyw sztucznych), możemy także naświetlać gotowe polimery i w ten sposób poprawiać ich właściwości (odporność mechaniczną i chemiczną) a więc i produktów wykonanych z tworzyw sztucznych.

Następnie planujemy współpracę z Wydziałem Chemii Spożywczej, z katedrami cukrownictwa, technologii spirytusu, drożdży itp.

— Chodzi też o naświetlanie?

— Naświetlanie produktów spożywczych bardzo wzmacnia ich odporność na psucie. Np. w Kanadzie stosuje się już na dużą skalę naświetlanie ziemniaków, w wyniku czego zapobiega się ich kiełkowaniu.

— A więc chemia radiacyjna oddaje ogromne usługi. Nie tylko posuwa wiedzę che-

miczną naprzód, ale jest bardzo pomocna w niektórych zastosowaniach przemysłowych. Czy znajdzie to wszystko swój wyraz w działalności dydaktycznej Katedry?

— Uruchamiamy od nowego roku akademickiego nową specjalność z zakresu chemii radiacyjnej. Szkoląc studentów Wydziału Chemicznego w tej nowej dziedzinie chcemy stworzyć nowy typ specjalisty, który będzie mógł pracować w przemyśle reaktorowym, w laboratoriach ochrony biologicznej, w zakresie chemii radiacyjnej polimerów i produktów spożywczych, no i wreszcie w instytucjach naukowych zajmujących się tą dziedziną nauki. W tej chwili zaopatrujemy się w rozmaite aparaty krajową i zagraniczną. Najczęściej są to źródła izotopowe (tzn. zawierające pierwiastki promieniotwórcze). Jednym z takich izotopów jest izotop strontu. No i takie właśnie małe źródło promieniotwórcze przywożem dla Katedry z Kanady.

— Czy praca przy tym źródle nie grozi niebezpieczeństwem dla zdrowia?

— Promieniowanie jest bardzo szkodliwe i trzeba stosować daleko posuniętą ochronę radiologiczną. Wszyscy nosimy stałe kaszki dezymetryczne z filmem dezymetrycznym, który bada się regularnie co miesiąc i na tej podstawie określa sumaryczną dawkę promieniowania działającego na organizm. Poza tym mamy różne przyrządy, tzw. monitory, do określania dawki promieniowania w danym miejscu laboratorium. W tej dziedzinie służba bhp jest tak rozbudowana, że praktycznie biorąc możliwości groźby dla życia wskutek napromieniania są wykluczone. Natomiast takie niebezpieczeństwo może zaistnieć w elektronach i reaktorach atomowych.

— Może ale nie musi.

— Właśnie. Nawet saper, który jak mówią „myli się tylko raz w życiu”, może z powodzeniem uniknąć pomyłki przy odpowiedniej dozie ostrożności i znajomości w zakresie swego zadania. W pracach badawczych naszej specjalności niebezpieczeństwo jest naprawdę o wiele mniejsze.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA



Esperanto — wystawa egzotyczna

Dla wielu ludzi esperanto stanowi na pewno egzotykę. Ale nie dlatego takim tytułem opatrzyłem tę notatkę, w której pragnę zasygnalizować ciekawą wystawę urządzoną staraniem Oddziału Łódzkiego Polskiego Związku Esperantystów i Młodzieżowego Domu Kultury w ramach Dni Oświaty, Książki i Prasy. Trzeba przyznać, że bardzo kolorowa, a mimo to nie przeładowana i estetycznie opracowana wystawa, zaskakuje bogactwem dokumentów i różnorodnością eksponatów. Zatrzymując się przed gablotami i planszami pomieszczonymi w niewielkiej sali wystawowej MDK odbywamy jak gdyby podróż po świecie. To właśnie jest egzotyka tej niecodziennej wystawy. Oto prasa ukazująca się w języku esperanto: „Afrika Revuo”, „Popola Cino”, „Vietnamio”, „Nuntampa Bulgario”, „Brazilo Esperantisto”, „Sveda Laboristo”, „Pollando”. Oto literatura wydawana w Paryżu, Moskwie, Sofii, Londynie, Hanoi, Phenianie, w Tokio, Rotterdamie, Warszawie, Budapeszcie i na Wyspach Kanaryjskich... Oto widokówki esperanckie pisane do przyjaciół w Łodzi z Indonezji, Rumunii, Kanady, Włoch, Urugwaju, Norwegii, Maroka... Oto radiostacje nadające programy w języku esperanto w Warszawie, Rzymie, Rio de Janeiro, Łodzi, Belgradzie, Gdańsku... Oto karty z kongresów światowych w Hiszpanii, Belgii, Anglii, ZSRR... Oto nasza chłuba epoki romantycznej „Pan Tadeusz” Miciewiczza obok „Hamleta” i „Oniegiina”, oto „Antologia literatury szwedzkiej” obok pięknego albumu z Jugosławii. Jest na tej wystawie także mały fragment poświęcony Łodzi, świadczący o bogatych tradycjach ruchu esperanckiego w naszym mieście. Wziąwszy pod uwagę chociażby tylko esperancką twórczość Juliana Tuwima, czy kronikarską działalność księgarza Włodzimierza Pietra, czy obecną działalność PZE w dziedzinie kultury i oświaty. A wszystko to w jednym języku, który pragnie stać się własnością wszystkich narodów i służyć im jako środek do wzajemnego porozumiewania się. I jakkolwiek daleko jeszcze chyba do tak zwanej masowości w zakresie stosowania języka międzynarodowego, to jestem przekonany, że dobrze się stało iż wreszcie esperantysty umożliwili łodzianom zapoznanie się z historią, rozwojem i celem ruchu esperanckiego na świecie. Dzięki temu esperanto na pewno przestanie być dla wielu jedynie egzotyką.

(EK)

Arystarch

Cyrano-fantasta

Szukałem długo odpowiedniego wyrazu dla określenia tego niezwykłego Francuza, poety i uczonego i wahałem się w wyborze pomiędzy: wynalazcą, odkrywcą, prekursorem, wróżbitą względnie plutonistą. Wreszcie, sięgnąłem do słownika języka polskiego, który definiuje fantasta, jako człowieka nie liczącego się z rzeczywistością, i wybrałem słowo — fantasta. Bo tak chyba najlepiej określić bohatera komedii Edmunda Rostanda, Cyrano de Bergeraca, który był nie tylko poetą — zabijaką, jakim przed-

stawił go dramaturg, ale również — wielkim uczonym nie liczącym się z rzeczywistością i z czasami, w których żył, i o których znów głośno we Francji.

Samo życie Cyrana można nazwać dziełem sztuki. Bo i któż potrafi w ciągu krótkich 36 lat (1619—1655) przeżyć i przeżyć się z awanturami w żołnierza, z żołnierza — w poetę, z poety — w uczonego? Pocziwy książę proboszcz, u którego Cyrano pobierał nauki, nie mógł sobie z nim dać rady, i pan Bergerac senior zmuszony był posłać syna na naukę

do Paryża. Tam Cyrano zasłynął wśród swych kompanów, Gaskończyków, „jak demon brawury, z których zawsze wychodził obroną ręką. Dopiero w czasie oblężenia pod Mouzon zostaje ranny od kuli z muskietu a w czasie bitwy pod Arras, które król Ludwik XIII odebrał Hiszpanom, dzielny wojak z przedziurawionym szpadem gardłem schodzi z placu boju, z trudem ratując życie. Po tych przygodach ma dosyć wojaczki i porzuca służbę u boga Marsa na rzecz służby u bogini

Minerwy (jakby powiedzieli jego współcześni z XVII stulecia), czyli — zamienia szpadę na książkę. Liczy sobie wtedy 21 lat. W krótkim czasie poznaje dzieła Demokryta, Pyrrhona (pierwszego sceptyka greckiego) Kartezjusza, Campanelli i innych. Jeden z nielicznych, poznaje się na wielkiej wartości uczonego Piotra Gasendiego, matematyka, filozofa, materialisty francuskiego i jednego z pierwszych myślicieli XVII stulecia, na którym szersze kregi ówczesnych intelektualistów nie rozpoznały się, a który uchodzi dzisiaj za prekursora pozytywizmu i materializmu.

Po tych studiach Cyrano przychodzi szereg jego zadziwiających pomysłów które ludzom XVII wieku wydawały się niezrozumiałe, gdyż wyprzedzały owe czasy, w których żył Cyrano, przynajmniej o trzysta lat.

Sam ich autor nazwał swoje dzieła „utworami komicznymi”, ponieważ były one pomieszaniem rzeczy „poważnych” z „zabawnymi” (w pojęciu ludzi XVII stulecia). W „Podróży na księżyc” i w „Podróży na słońce” wykazuje Cyrano de Bergerac niezwykłą przenikliwość i dalekowzroczność. Dostępowie, że pisze on o „trzydniowej” rakiecie, o „wiecznej lampie”, wówczas gdy postugiwano się wciąż jeszcze świecami oraz a „szlucznym śpiewie”.

Uczni „zachodzą w głowę”, skąd ten Francuz mógł w owych czasach wykrywać ziarnia, z których zakiełkowały myśli dopiero trzysta lat później, gdyż nawet dla ludzi XVIII stulecia wyobrażenie „mówiącej szkatułki” (radio) albo „szlucznego śpiewu” lub „podróży międzyplanetarnej” było nie do przyjęcia.

Na trzysta lat przed Mar-

conim nasz Cyrano de Bergerac tak mniej więcej fantazjuje na temat radiofonii (nie używając naturalnie słowa „radio”): Pewien młody kaniec księżycy wręczył mu podarunek składający się z dwóch książek w formie szkatułki. Z otwarciem szkatułki Cyrano znalazł coś w rodzaju zegara, pełnego sprężyn i dziwnych mechanizmów. Była to cudowna książka, która nie miała strony ani druku, i dla korzystania z której nie był potrzebny wzrok, tylko — uszy.

Nagła śmierć, równie oryginalna jak cała kariera Cyrano de Bergeraca przerwała nieoczekiwanie to krótkie, świetnie zapowiadające się życie uczonego. Zmarł uderzony belką spadającą z dachu. Miał wtedy 36 lat.

A swoją drogą, czy nie warto, żeby teatry łódzkie pomyślały o wznowieniu uroczej komedii Rostanda?

MARIA KORNATOWSKA

PREMIERA była wczoraj

Nie bez kozery: wszystkie przekupki na bazarze Różyc-
kiego powiadają, iż przedwojenny towar — najlepszy. Wy-
twórny i chodliwy. Przedwojenna rzecz zawsze znajdzie
nabywcę. Bo to panie, dziś już nie te czasy! Hej, Iza się
w oku kręci...

Jest taki przedwojenny polski film „Zapomniana melo-
dia”, w którym nieodparto w dowcipie Antoni Fertner w
tę uroczej piosenki śpiewanej przez nie mniej nieodparte-
go (ale już nie w dowcipie!) Aleksandra Żabczyńskiego,
przypomina sobie recepturę nowego rewelacyjnego mydła.
Pan Janusz Morgenstern w równie pomysłowy sposób słu-
chając nowoczesnych akordów Komedy przypominał sobie
i nam wszystkim jak układać niezawodny przepis na starą,
dobrą, przedwojenną komedię. I szybko zrobił film pod
obiecującym tytułem „Jutro premiera”. Bo to bierze się,
panie, trochę tekstu, w miarę teatralnego, w miarę ozdo-
bionego dowcipami (które każdy na tyle zna, aby się ser-
decznie uśmieć), znany, a jakże, dobrze znany temat oraz
tzw. środowisko; przyprawia się rzecz całą co przedniejszy-
mi gwiazdami sceny. Dla zachowania zaś specyfiki filmo-
wej dodaje się tzw. ramę. Całość najlepiej wypada we śnie.
Czas, jak wiadomo, mimo wszystko idzie, oczywiście nie-
oblaganie, naprzd i dlatego to zamiast Cwiklińskiej, Fer-
nera, Sielańskiego, Znicza, Grossówny, oglądamy Holoubka,
Dziwonińskiego, Siemionę, Kalinę Jędrusik, Irenę Malkie-
wicz i in. Poza tym wszystko jak przed wojną. Gwaran-
tujemy!

Ale, ale, gwoili uczciwości musimy odnotować, że knajpy
nie zmieniły (nie masz już „Adrii” w Polsce!), zmieniły się
stroje (wprawdzie niewiele) no i rzecz najważniejsza zmie-
niły się typy samochodów. Pomyślcie tylko jakie to proste.
I publiczność wali drzwiami i oknami i recenzenci krzyczą
zgodnym chórem — nareszcie mamy dowcipną polską ko-
medię filmową. Po co daleko szukać? Mamy przecież na-
rodowe tradycje, a dowcip Jurandota od czasów przedwo-
jennych wcale się nie zestarzał i nie zwietrzał. Przeciwnie,
nabrał już niejako monumentalnej godności. Prawie epokę
stanowi. Cieszyć się jedynie wypada, iż ów dowcip, który
przetrwał do naszych czasów, w swej niemal nieskażonej,
pierwotnej formie, trwoniony lekkomyślnie po różnego ro-
dzaju „Syrnach” i „Teatrach 7,15” doczekał się wreszcie
niezależnego sobie publicznego uznania i został raz na zawsze
przeznaczony na celuloidowej, i miejmy nadzieję, niepalnej
taśmie. W ten sposób najcenniejsze perły naszego narodo-
wego poczucia humoru przetrwają ewentualne burze i za-
wiewy i po iluś tam latach nasze wnuczki z nieklamną
radością obejrzą na ekranach nową „naprawdę” dowcipną
polską komedię filmową.

Filmowi Morgensterna można z góry przepowiedzieć wy-
bitne wartości archiwalne. Prawdziwa to bowiem parada
naszej sceny. I jak te asy grają! A może, gwoili ścis-
łości raczej zgrywają się (znów identycznie jak przed woj-
ną). Cóż bowiem czynić mogą inteligentni aktorzy w takim
filmie i to jeszcze w dodatku traktującym o ich własnym
środowisku? Bawią się zatem doskonale, grając trochę sa-
mich siebie a trochę swych najbliższych przyjaciół w Mel-
pomenie. Dzięki temu film przypomina radosny cocktail to-
warzyski urządzony w jakimś klubie SPATIF-u, na którym
zabralo się mnóstwo popularnych i sympatycznych postaci.

Kogóż bowiem tam nie ma, skoro jest nawet sama Irena
Dziędziel! We własnym gronie znakomitości owe czują się
nieco zażenowane swoją wielkością i dlatego zachowują się
z pewną nonszalancją, autoironią i lekkim przymrużeniem
oka w stronę przypadkowego, a szarego widza. Stanowi to
dodatkowy i zapewne jedyny, z transcendentalnego punktu
widzenia, atut filmu „Jutro premiera”. Niech żyją nasi ko-
chani aktorzy, chciałoby się krzyknąć po opuszczeniu kina.
Niech żyje nasz teatr, który wychował nam tyle znakomi-
tych talentów! Tylko po jakie лихо marnują się oni w fil-
mie? Odpowiedź jest prosta. Zaczepnieliśmy ją z samego
dziela Jurandota i Morgensterna. Cytujemy: „bo film lepiej
płaci” — koniec cytatu.



FOTOS Z FILMU „JUTRO PREMIERA”

Po ubiegłorocznym niemal „festiwalu” filmów Ingmara Bergmana, ostatnio nie oglądaliśmy stosunkowo dawno filmu szwedzkiego. Warto więc przedstawić i polecić Czytelnikom film bardzo podobny w swej problematyce do moralno-obyczajowych filmów bergmanowskich. „GRĄ ZWANA MIŁOŚCIĄ” nie została zrealizowana przez twórcę „Siódmej pieczęci”, lecz młodszym od niego wic-kiem i stażem reżyserskim Kenne Fant, którego wymie-
niony film jest pierwszym jak-ki oglądamy w Polsce. Po-
zornie banalna fabuła przyno-
si ciekawą obserwację oby-
czajową i psychologiczną bo-
haterów — nieco znudzonego
sobą małżeństwa. Głównemu
winowajcy tego stanu rzeczy
— mężczyźnie, tajemniczy nie-
znajomy każe przeżywać jesz-
cze raz niektóre epizody z
życia wyjaśniając ich współ-
zależność. Zrealizowane na
barwnej taśmie retrospekcje
w czarno-białym filmie są jak
najbardziej zrozumiałe dla
każdego widza. Wiele jest w
tym filmie refleksyjnego i
ironizującego humoru, skąd-
inąd znanego nam już z ko-
mediowo-groteskowych filmów
Bergmana jak „Uśmiech noc-
ny” czy „Lekcja miłości”. Re-

żyseria Kenne Fanta choć na
pewno niezbyt ciekawa for-
malnie (zastosowanie retros-
pekcji, wprowadzenie symbo-
licznych postaci) jest jednak
logiczna i sprawna w kon-
struowaniu poszczególnych e-
pizodów i ich pointowaniu.
Wreszcie bardzo dobra Bibi
Anderson — czołowa aktorka
prawie wszystkich filmów
wspomnianego już Ingmara
Bergmana stanowi zasadniczy

temple z zagadką kryminalną
reżyserował John Guillermin,
jeden z najbardziej ostatnio
„modnych” angielskich reży-
serów w tym gatunku filmu
fabularnego. Kulisy gangster-
skiego półświata, działal-
ność gangu samochodowych
złodziei są na tyle atrakcyj-
ne, a jednocześnie tak znane
z lektury licznych krymina-
łów, że przy ich ponownym
ukazywaniu trudno ustrzec

pakując olbrzymie sumy do-
larów. Dość napisać, że o-
prócz uroczej Shirley Mac
Laine („Garsoniera”) i Davi-
da Nivena („Witaj smutku”),
którzy grają główne role,
Todd zaangażował do epizo-
dów 43 aktorki i aktorów o
takich nazwiskach jak: Mar-
lena Dietrich, Fernandel, Mar-
tine Carol, Frank Sinatra,
Buster Keaton, Charles Boyer.
„80 dni” są bardzo dowolną
adaptacją znanej powieści i
chyba zbyt długa a zatem i
nużąca. Omawiany film jest
klasycznym przykładem
filmu-giganta konkurującego sku-
tecznie z postępującą ekspan-
sją telewizji. Todd, któremu
nie brak było pomysłowości i
przedsiębiorczości zrealizował
„80 dni” przy użyciu nowej
techniki na taśmie filmowej
szerokości 70 mm, której pro-
jektacja daje efekt podobno
zbliżony do francuskiej cine-
ramy lub radzieckiej kino-
panoramy. System ten zwany
„Todd-AO” jest niestety jesz-
cze nie stosowany w Polsce,
stad kopie tego barwnego
super-filmu wykonano na ta-
śmie 35 mm w popularnej u
nas wersji szerokoekranowej.
Tyle przygód naraz rzadko
ogląda się na ekranie, po-
cząwszy od nieco archaicznej
podróży na księżyc (wykopio-
wanie ze słynnego filmu Ge-
orgesa Meliesa z 1902 r.) aż
poprzez wszystkie kontynen-
ty świata. Atrakcyjne, barw-
ne zdjęcia, nieco fantastyki
są niewątpliwie walorami wi-
dowskimi tego filmu o
szczególnie ciekawej czołów-
ce zaprojektowanej przez Sau-
la Bassa, autora czołówek do
licznych filmów amerykań-
skich — „Czarna Carmen”,
„Ślomiany wdowiec”. Zby-
teczne byłoby zachęcanie
do obejrzenia „80 dni”, który
dla Zarządu Kin i CWFu be-
dzie niewątpliwie najbardziej
wpływowym (pod względem
wpływów kasowych) filmem
najbliższych tygodni. O in-
nych filmach jak zwykle za
tydzień.

Oglądamy na ekranach

walor „Gry zwanej miłością”,
którą nazwać skrótowno można
zajmującą i zabawną kome-
dią filmową z morałem i iro-
nicznym spojrzeniem na ludz-
kie konflikty.

Gatunek filmu kryminalne-
go reprezentowany będzie w
najbliższych tygodniach prze-
de wszystkim przez angielski
„GARAŻ ŚMIERCI”, który u-
trzymany w bardzo dobrym

się schematów. Uciekanie się
do ogranych chwytów dra-
matycznych w filmie Guil-
lermina było jednak chyba
w tym wypadku rzeczą nie-
odczynną przy założeniu zre-
alizowania tzw. filmu dla
wszystkich, popularnego kry-
minału. Aktorstwo „Garażu”
śmierci” poza popularnym a-
manitem Richardem Toddem
 („Nocny nalot” i „Błękitny
patrol”) — nie wykracza poza
przewidywaną przeciętność.

Skoro jesteśmy przy naz-
wisku TODD, nie sposób po-
minać amerykańskiego super-
filmu nagrodzonego swego
czasu pięcioma „Oscarami” i
Nagrodą Krytyki Nowojorskiej
— „W 80 DNI DOOKOŁA
ŚWIATA” wg powieści popu-
larnego Julesa Verne’a. Slyn-
ny potentat filmowy Michael
Todd, tragicznie zmarły w ka-
tastrofie lotniczej, jeden z
meżów nie mniej popularnej
Elisabeth Taylor zrealizował
„80 dni” przy udziale an-
gielskiego reżysera Michaela
Andersona („Nocny nalot”).

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

NADJA TILLER,

ZNANA Z FILMU „ROSE-
MARIE WŚRÓD MILIONE-
RÓW” — W NOWEJ ROLI
LOULOU



odgłosu str.
3

STAŁY KONKURS na REPOR- TAŻ

Wejewództwo bydgoskie tak pod względem dynamiki rozwoju jak i historii należy do najciekawszych w kraju. Przeszłość, pełna dramatycznych momentów, współczesność charakteryzująca się niebywałym tempem rozwoju, ciekawe perspektywy przyszłości — wszystko to pozwala postuluje konieczność gromadzenia trwałych, wiarygodnych, gruntownych opracowań, podejmowania trudów niktarskiego nad opisywaniem i tego, co było i tego, co jest, a co stanowi najcenniejsze dziedzictwo naszych czasów.

Rozumiejąc tę konieczność Prezydium WRN w Bydgoszczy, Polskie Radio i „Gazeta Pomorska” — redakcja „Spojrzeń” ogłaszają konkurs na reportaże.

Konkurs różni się tym od wszystkich innych, że ma charakter stały. Obojętnie tematycznie zarówno współczesna, jak też dotychczas historia i przeszłość problematykę rozwoju województwa bydgoskiego. Konkurs obejmuje wszystkie dziedziny życia.

Nagrodę (i ewentualnie wyróżnienia) przyznaje jury powołane przez organizatorów.

Wartość nagrody, przyznawanej co miesiąc, w ostatnim dniu miesiąca, ustala się na 2.000 zł. Łączna suma nagrody i wyróżnień wynosi 3.000 zł miesięcznie. Jury ma prawo przyznać nagrodę mniejszą względnie nie przyznać jej wcale. Każdemu z autorów prac drukowanych przysługują poza tym normalne honorariumy.

Reportaże (nie drukowane uprzednio) w trzech egzemplarzach opatrzone godłem, należy przesyłać w zamkniętej kopercie do dnia 25 każdego miesiąca na adres: „Gazeta Pomorska”, Bydgoszcz, Śniadeckich 1 z dopiskiem na kopercie „Konkurs na reportaże”. Można składać więcej niż jeden raport. Objętość prac ustala się na około 10 stron maszynopisu z interlinią i podwójnym odstępem.

Nagrodzone reportaże będą drukowane wraz z werdyktem jury, w najbliższych, po 1 każdego miesiąca numerach „Spojrzeń” oraz publikowane w bydgoskiej rozgłośni Polskiego Radia. Wyróżnione — w kolejnych numerach „Spojrzeń”.

Przewiduje się możliwość wydania w formie książki tych prac, które będą przedstawiały autentyczne walory zarówno treściowe, jak i formalne.

ANDRZEJ
OSTOJA

Sala Sądu Powiatowego. Lśniące posadzki. Wysokie okna. Wiosna. Maj. Kasztany ubrane świeczkami kwiecistymi. Kłose bzu zaglądają do okien. Na sali młodość. Młody sędzia zasiada na wysokim fotelu. Na jego czarnej toście złoci się ciężkie łańcuchy z emblematami Państwa. Z prawej strony młody prokurator w toście z czerwonymi wypustkami. Z lewej strony młody protokolant. Koło sędziego dwóch młodych ławników.

Lawy publiczności szczelnie wypełnione. Tam również młodość. Młodzi chłopcy w wielkim przedpoborowym. Niezwykłe wąskie rurowate spodnie; obcisłe marynarki, jaskrawe skarpetki, obuwie w szpic; wielu w krzyżujących krawatach, wzorzystych szalikach, inni bez. Uczesania w „Tytuśa”, w „Głupiego Jasia”, w „Leona”, w „Barana”. Niekiedy po prostu rozpalani, zaróżnieni, nie ogoleni, brudni. Wszyscy poepni.

Dziewczeta różne. Przeważnie kociaki. Niektóre bardzo ładne. Krótkie obcisłe spodniczki, kolorowe sweterki, szpilki, nylony lub nagie nogi. Cienkie jak osy. Wymulde. Niektóre przesadnie wymakają żółtawe. Włosy w różnych odcieleniach, jeszcze trafiają się „koniekie ogony” i „topielice”, ale przeważnie już uczesane nowoczesnie lub zupełnie niedbale, albo wcale. Niektóre twarze puste jak przestrzeń, niektóre nawet skromne, większość wyzywająca i dwuznaczna.

Na ławie oskarżonych, pod eskortą milicjanta, ponury chłopak. Nie powiedział dotąd ani słowa. Zaseponiony oczami spogląda gdzieś przed siebie. Ubrany jak inni — niedbale i „nowocześnie”. Jest szczupły, nieduży, dobrze zbudowany. Prostą nos, rozwichrzone, kasztanowate włosy.

Padają pierwsze słowa sędziego. Na sali cisza.

— Proszę wstać, gdy Sąd przemawia!

Podnosi się niechętnie, ociężale. Nie patrzy na sędziego. Ściąga brwi, zaciska usta, wzrok kieruje gdzieś, w kąt sali.

— Lat?
— Osiemnaście.
— Zawód?
— Wzrusza ramionami.
— Karany?
— Tak.
— Za co?
— Milczy.

Sędzia wyjaśnia, że pół roku temu oskarżony napadł bez żadnej przyczyny na przechodnia na ulicy i pobił go. Za ten czyn został skazany na 4 miesiące aresztu.

— Czy tak było? — pyta sędzia.

— Tak — pada obojętna odpowiedź.

Sędzia odczytuje akt oskarżenia.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

— Wzruszenie ramionami.

— Co oskarżony chce wyjaśnić Sądowi?

— Odmawiam wyjaśnień.

Przed pewnym domem — wysoka kamienica — gromadzą się chuligani. Stoją przed bramą, na ulicy, gdy niepogoda kryją się w bramie. Pała papierosy, o czymś rozmawiają, zmagają się, czasami piją wódkę, zaczepiają przechodniów, nie przepuszczają żadnej dziewczynki. Padają słowa o brzości i brudne, wstrętne propozycje, nieczne drwiny, obrzydliwe przekleństwa. Czasami nie mówią, nie

robią, tylko spoglądają na ludzi z nienawiścią i pogardą. To nie jest ich świat, nienawidzą tego świata. Nie wiadomo z czego żyją, jak się utrzymują, skąd płynię ta marność dobrowolnego bezrobocia. To jest ten zamknięty klan wydziedziczony właściwie ze społeczeństwa i pasożytujący na tym społeczeństwie, jak złośliwy wrzód.

Stoją sobie tak przed bramą całymi dniami i spluwają na cały świat. Dla rozrywki kogoś pobiją, gdzieś coś ukradną, zorganizują jakiś napad, zamieszanie i rozróbę, zniszczą to lub owo, a zniszczenia to idą w dziesiątki milionów złotych rocznie. — Są wyrzutem, wstydem i zakląciem społeczeństwa.

Trzeba trafić, że w kamienicy tej na trzecim czy czwartym piętrze również zbiera się młodzież. Mieści się tam filia szkoły teatralnej. Młodzi studenci i studentki uczą się tam, odbywają ćwiczenia i przygotowują do egzaminów. Odbywają się próby sceniczne. Wśród wielu studentek jest tam Jola, która uczy się doskonale i jest bardzo zdolna.

Stoi oto przed Sądem i zeznaje zmieszana:

— Nigdy nie dał nam spokojnie wejść ani wyjść, tylko zawsze zastępowali drogę, łapali nas za ręce i za nogi, mówili najgorsze słowa i tak się zachowywali, że tego nie można powtórzyć. Wchodziliśmy więc i wychodziliśmy w otoczeniu kolegów, a i to nie przeszkadzało awanturze, a bójka zawsze wisiła w powietrzu. Po prostu już nie wiadomo było co robić. Baliśmy się przecież o kolegów...

Podnosi oczy na sędziego i milknie.

— No tak, rzeczywiście — mruczy sędzia. — Dlaczego nie zwróciłeś się do milicji?

— Zwracaliśmy się parę razy — mówi Jola — ale to nic nie pomogło. Gdy tylko ukazał się patrol, oni rozpraszali się i gdzieś znikali. Kiedy patrol podchodził do domu, to już nie ma nikogo albo stoją gdzieś dalej pod domami, przy wystawach i przyglądają się. Spokojnie sobie czekają.

— Hm — mruczy sędzia — co było dalej?

— Tego dnia — zeznaje Jola — było już dość późno. Pewnie 19-ta. Napracowaliśmy się bardzo, bo do egzaminów wystawialiśmy sceny z „Wesela”, a to wymaga pracy. Większość kolegów już wyszła a myśmy jeszcze zostali. To znaczy Leszek K., Marek J. i ja. Spieszyliśmy bardzo do domu na obiad. Zapominając o chuliganach poognaliśmy się szybko z kolegami i zbiegaliśmy na dół, a tam...

Przerywa na chwilę i spogląda na oskarżonego.

A tam... oni wszyscy stali w bramie, bo mżył deszcz...

i ruszyli na mnie jak na jakiego zwierza, z półwornymi słowami i wyciągniętymi rękami. W jednej chwili znalazłam się z powrotem na czwar-

zangazowanej. Trudno też nie oceniać jej funkcji — kronikarza czasów i komentatora wydarzeń.

Przedstawienie „Nie gaskał mnie życie po głowie” skomponowano w sposób, który podkreślił charakter twórczości Broniewskiego.

Wiersze ułożono nie tyle według chronologicznych dat ich powstania, co raczej według ich historycznej zawartości. W ten sposób uzyskując zwiartę tematyczną, tylko w niewielu wypadkach przełamana niefortunnym wyborem wierszy. Zwartość ta nadaje spektaklowi „Nie gaskał mnie życie po głowie” charakter poetyckiego

raprodu, ściśle określonego datami, kronikarsko notującego historyczne już dziś wydarzenia. Raprodu, będącego nie tylko poetyckim pamiętnikiem poety, skrzętnie notującego stany swoich uczuć, ale też obrazem czasu.

Przedstawienie podzielono na dwie części, a na klamrę spinającą przedstawienia wybrano fragmenty poematu „Mazowsze”. Jest to chyba ukłon w stronę tradycyjnej prezentacji dorobku poety. Zanotujmy jeszcze, że spośród wykonawców — recytatorów wyróżnili się Teresa Kałuda i Jerzy Kamas.

Trudno jednak, patrząc na teatralny sztafaż w jaki zaopatrzone wiersze Broniewskiego, nie oprzeć się wrażeniu, że reżyser bał się zawieźć poezję, jej umiejętności, pobudzania wyobraźni. Konsekwencją tej niewiary było podparcie przedstawienia fragmentami kronik i filmem o Broniewskim.

Ta niewiara w poezję dała przedstawienie nie utrzymane w jednolitej konwencji, zbyt natrętnie dopowiadające „treści” wierszy. I to jest chyba zasadniczym błędem, jaki popełnił twórca spektaklu. Błędem o tyle wylumaczalnym, że teatr w

Bohater wybitego zębami

tym piętrze. Odbyliśmy wojnę na naraż. Wózna proponowała, że pójdzi na milicję, ale ona jest bardzo stara i ledwie chodzi po schodach, więc chłopcy nie chcieli. A telefonu tam nie ma.

— Postanowiliśmy wyruszyć — ciągnęła dalej. — Na trzy osoby chyba przecież nie nadpadną. Pierwszy szedł Leszek K.; ja za nim, pośrodku, za

wał, jakoś ich przekonać lub czymś przekupić, składać jakieś stały haracz, aby tylko dali nam spokój. Sam nie wiem. Nie miałem określonego planu. Gdy zbliżyłem się do prowadzycy, na pierwsze moje słowa bluznął takim sękiem przekleństw i obelg, że stało się jasne, iż ta rozmowa nie da żadnych rezultatów. Odwróciłem się więc, minąłem

bramę i poszedłem w stronę moich kolegów. Po chwili otrzynałem z tyłu silne uderze nie w prawy policzek. Zamroziło mnie i zachwiałem się na nogach. Gdy obejrzałem się, zobaczyłem napastnika, który stał bez ruchu za mną i uśmiechał się drwiąco.

— Czy to był oskarżony? — sędzia wskazuje ruchem ręki.

— Tak.

— Czy świadek przedtem znał go, utrzymywał z nim stosunki?

— Nigdy w życiu.

Sędzia zwraca się do chłopca z ławy oskarżonych.

— Czy to oskarżony napadł z tyłu na obecnego tu studenta Marka K. i uderzył go kluczem, rozbijając mu twarz i wybijając zęba?

— Tak, to ja — potwierdza i pochmurnie spogląda w kąt sali.

Przez ławy chuligańskie publiczności przebiega szum uznania i podziwu. To dopiero styl! Ten się utrzymać!

Prokurator szeroko nawiązuje zjawisko chuligaństwa, wskazuje na szkodę społeczną, określa wybitnie zła wolę oskarżonego i z tego względu wnosi o najwyższy wymiar kary w tego rodzaju przestępstwach — 2 lata więzienia.

Młody sędzia, jak się zdaje, ma jeszcze jakąś wątpliwość. Udziela oskarżonemu ostatniego słowa.

Chłopak powstaje z miejsca, hardo podnosi głowę i mówi twardym głosem:

— Dwa lata nie mają dla mnie żadnego znaczenia, przeżyję o cztery lata!

Wśród kociaaków, na ławkach wyraźny zachwyt i cichy szum. Spojrzenia wypatrzone uwiłbieniem płyną z jego strony ale on sobie tego nie nie robi. On się zgrywa. Nie czyni na pokaz. Znowu przywiera po rym wzrokiem do swego kątka i stoi nieruchomo. Nienawidzi. Gardzi. Ma w sobie wstręt, nikomu nie ufa, dąży do siebie z tego świata.

Sąd po naradzie powraca do sali. Wyrok: rok i osiem miesięcy więzienia za wywłóknienie zła wole, za brak skruchy i za to, że jest recydywista.

Młody chuligan uśmiecha się pogardliwie i wychodzi podniesioną głową, w towarzystwie milicjanta. Prawda, bohater wybitego zębami.

Sala powoli pustoszeje. Znikają aktorzy: młody sędzia, młody prokurator, młodzi ławnicy, młody aplikant od protokolarności, młodociana publiczność. A oknami młody maj.

Łódź nie ma żadnych tradycji w tworzeniu przedstawień rapsodycznych. A nie bał w Teatrze Powszechnym jest chyba pierwszą, jaką w latach powojennych dokonano w celu stworzenia takiego teatru.

Dlatego zapewne porównanie tego przedstawienia do spektaklu w teatrze studentów, jakim „Cytryna” wypadła niekorzystnie teatru zawodowemu. A oszczędne, konsekwentne „Pawie i Pawłaki” warto przy okazji wspomnieć, bo widąc wtedy inną różnicę w potraktowaniu poezji.

E. S.

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

Zeznał Marek K.:

— Zwróciłem, aby rozmówić się z ich prowadzącym, a przynajmniej tym, kogo za prowadzycy uważałem. Sytuacja była nie do zniesienia i trzeba było jakoś się z nimi ułożyć albo zebrać wszystkich kolegów i odbyć generalną rozprawę. Tak ich sprząć, aby się z tej bramy wyprowadzili, czy może coś wyperswado-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

— Nie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczego oskarżony to uczynił?

Młodzieniec milczy i tylko mocniej zaciska usta.

— Oskarżony poszkodowanego nie znał — mówi sędzia — nie miał do niego żadnego żalu, w ogóle, jak wynika z zeznań, pierwszy raz go wtedy zobaczył na oczy, bez żadnego więc powodu, bez najmniejszej przyczyny, napadł oskarżony podstępnie, z tyłu, na spokojnego człowieka, rozbili mu twarz, wybił zęba ukoził kilka dalszych, jak to wynika z badania lekarskiego, a później stał sobie spo-

nił, po czym szedł w naszą stronę chwylając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i splwał krwią. Chwyciliśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część

Barbara Wziesińska

sielanka

w Kon- stan- tyno- wie

Jakoś nikt jeszcze nie rzucił myśli, aby stworzyć skansenowskie muzeum, złożone z chat zamieszkiwanych przez tkaczy i przędźników Ziemi Łódzkiej, a wznoszonych w XIX wieku hojną ręką panów fabrykantów. Chata, którą zajmuje rodzina J. w sam raz do tego celu by się nadawała. Wrosła w chodnik, z maleńkimi okienkami wygląda wsiowo, ale pasuje do Konstancyjki — miasta, bądź co bądź prawie 12-tygodniowego.

W dwóch niewielkich, potworkach zaniedbanych izdekach sześciorgo dzieci i dwoje rodziców. Matka chora, pracuje dorywczo, ojciec zaś sezonowo w cegielni. Zarabiała przeciętnie około 1 tysiąca zł miesięcznie. I z tego ubożuchnego budżetu największy procent pochłania... wódka. Pije zarówno ojciec jak i matka. A dzieci?

Najstarszy chłopiec powinien być już w IX klasie, a nie ukończył pięciu. Jego brat zamiast w ósmej jest w czwartej, zaś siostra opóźniła się w nauce już o 2 lata. Na tym rejestr się nie kończy, gdyż z bliźniat, które winny uczęszczać do klasy IV jedno jest w III zaś drugie w I. Najmłodsza latorośl uczęszcza do klasy I, ale już wiadomo, że będzie powtarzała rok.

Z ojcem rozmawiał już kierownik szkoły, przedstawił Komitetu Rodzicielskiego, wzywano go na posiedzenie MO, stawał przed kolegiem, sprawę rozpatrywał sąd dla nieletnich. Wszystko bezskutecznie. Jakkolwiek żał mu nieco wysokiego dodatku rodzinnego, bo można te pieniądze wymienić na parę litrów wódki miesięcznie, rozkłada beznadziejnie ręce. Oświadcza, że najlepiej będzie jak dzieci weźmie państwo.

Mówiąc językiem socjologa — osobnik życiowo nieprzystosowany. Zatem społeczeństwo winno przyjąć na siebie jego funkcję.

Tych życiowo nieprzystosowanych przybiera nam coraz więcej i często są oni wytworem zupełnie zdrowych zjawisk, rodzin. Oto recepty na ich produkcję.

Wychowawca klasy V, przechodząc między ławkami wycofał w kieszeni ucznia twarde przedmiot. Był nim pospolity „majcher”. Przyszła matka, specjalnie wezwana.

— Ten nóż? Sama mu dałam. Niech się chłopiec broni, jeśli go koleś napadnie. Mówi Pan — źle zrobiłam? Może. A czy wychowawca ładnie postępuje skoro zagłaska chłopcom do kieszeni? No, tak, tak. Pomyśleć nad tym. Ale niech mi go pan kierownik odda. „Majcher” zawsze przysła do domu.

Dziesięcioletni Staś upił się wódką. Pieniądze skradł matce. Wezwani rodzice nie zjawili się w szkole. Matka zachorowała. Ojciec był czymś bardzo zajęty. W zastępstwie przysłał krewnego.

— Więc pan kierownik mówi, że chłopiec się upił? — I w takiej sprawie Pan nas wzywa? A jak to Pana interes? Proszę pilnować wyników nauczania.

Kierownik konstancyjskiej szkoły nr 1 — pan Pszonko zdobył w trakcie swej wieloletniej pracy pedagogicznej bardzo bogate doświadczenie. Ale takie stawianie sprawy nawet jego zaskakowało. Trzeba chyba zacząć od reedukacji rodziców i opiekunów?

Temota, alkoholizm, prostactwo to największe wrogi młodego pokolenia. Ale nie tylko. W parze idzie tutaj również nadmierna tolerancja. Nierzadko się zdarza, że w młodzieżowych sążachach złośliwych ludzi rolę odgrywają dzieci rodzin inteligentnych, nieulegających materii, nie umiających niczego odmówić swym pupilkom.

Spełnianie wszystkich zachcianek dziecka przy równoczesnym braku zainteresowania jego otoczeniem, postępowanie w nauce, bogactwi przeżyciami wewnętrznymi, prowadzą do nieodwracalnych tragedii, a nawet samobójstw.

Jak jest pogoda, a chcę ich znaleźć — opowiada pan Mikołaj Buczyński, Kurator na Konstancyjce, ustanowiony przez Sąd dla Nieletnich — to idę na Jendloch. To taki staw z kawałkiem lasu, tuż za miastem. Leżą tam te dzieciaki w trawie, grają w karty i palą papierosa. Trudno im się dziwić, nasiedzą się w mieszkaniach całymi miesiącami, to ciągną teraz na słońce. Bieda w tym, że zabierają ze sobą i tych, którzy chodzą do szkoły, a nie mają siły przedłożyć obowiązek nad przyjemność.

Żeby mógł znaleźć pracę dla trzech chłopaków. Chociaż dla trzech. Wydeptuje ścieżki do Prezydium, do Zakładów Przemysłu Welnianego, do Spółdzielni Pracy i nie może wskórać. Nie rozumieją, że to przecież wcale nie mój prywatny interes, ale nas wszystkich. Dzieci są niezdolne. Czy to ich wina, że mają złych rodziców? Wyrwać ich, wyrwać ich z tych domów, w których są zawadą i zbyteczną gębą do jedzenia.

I przykłady podaje. Tego krawca znać? A fryzjera? Też byli moimi podopiecznymi. Są teraz porządnymi ludźmi. Jeden się ożenił, drugi dorobił się motora i z tego głowa nie można na nich powiedzieć. Ale moje argumenty nie przemawiają, widać do przekonania. Tu słyszę — reedukacja etatów, tam troska o produkcję — uczeń jest mało wydajny, ówdeż przepisy mi pokazują, że niby małoletniego bez ukończonej szkoły

przejmować nie wolno. A coż to, przepisy ważniejsze od człowieka. Przecież mogą chłopcy kończyć szkołę dla pracujących. Z dziećmi wstydzą się już uczyć. Tymczasem działacze, społecznicy zobowiązani nawet na krzywdę dziecka.

Mikołaj Buczyński nie jest już młodym człowiekiem. Sam ma dwóch synów. Jeden w tym roku zdaje egzamin maturalny, drugi zaś uczy się w szkole zawodowej. Mimo to potrafi jeszcze znaleźć wiele czasu dla swych podopiecznych. Często w tych wędrownych towarzyszy mu żona, lub opiekun społeczny. Tak jest bezpiecznie. Nie wszyscy przecież patrzą na niego złośliwym okiem. Ojciec alkoholicy są bardzo niezadowoleni, że ich dzieci dają się zaufaniem.

Mikołaj Buczyński czuje się osamotniony. Dziw, że jego poczynania nie zainteresowało się TPD, albo Liga Kobiet. Czyżby rzeczywiście był w Konstancyjce jedynym sprawiedliwym? Czuję się bezradny, gdyż niewiele może pomóc. Wtedy mu już czasem zaglądać do podopiecznych. Nie może im zanieść nic prócz dobrego słowa. A dobre słowo tu nie wystarczy. Wie o tym Mikołaj Buczyński. I skoro mimo wieloletnich wysiłków nie mógł znaleźć sprzymierzeńca w Konstancyjce znalazł go w dziennikarstwie. A dziennikarz? Odbył z Mikołajem Buczyńskim wędrowną po konstancyjskich posesjach, rozmawiał z powierzonymi jego opiece dziećmi, poznał warunki, w jakich one żyją i doszedł do wniosku, że nie pora apelować do sumień i serc. Często bowiem adresaci tych apelów są pozbawieni sumienia. Pora więc sięgnąć po najcięższy kaliber broni, jaką przecież w tym zakresie społeczeństwo dysponuje. Bronią są odpowiednie przepisy prawne, regulujące sprawy obowiązków opieki nad dziećmi.

Sprawa nie dotyczy wyłącznie Konstancyjki. Sygnałem alarmowym jest kartoteka Komendy Wojewódzkiej MO napęczniała meldunkami o wykroczeniach nieletnich. Oto bolesna statystyka: w 1961 r. funkcjonariusze MO woj. łódzkiego zanotowali 517 przypadków braku opieki nad nieletnimi, którzy przebywali w zdemoralizowanych środowiskach. W 77 przypadkach wystąpiono w ich sprawach do Wydziałów Opiekuńczych Sądów Powiatowych, w 213 przypadkach — do sądów wojewódzkich i w 227 przypadkach — do Wydziałów Opiekuńczych sądów dla nieletnich.

W tym samym okresie Milicja reagowała ponad 3 tysiące razy na niewłaściwe zachowanie się nieletnich w miejscach publicznych. Zatrzymała 26 nieletnich w stanie nietrzeźwym i ujęła 381 nieletnich zbliżających się do domów rodzicielskich. To niestety, nie wszystko, bowiem towarzyszy z Komendy Wojewódzkiej MO twierdzą, że „jednym z poważniejszych z problemów w zakresie utrzymania porządku i bezpieczeństwa jest przestępczość wśród nieletnich”. W ciągu 1961 r. przeprowadzono za przestępstwo kryminalne przeciwko nieletnim 1049 spraw, w których miejsca oskarżonych zajęło 1533 dzieci. Wykroczenia te stanowią 25 proc. wszystkich przestępstw kryminalnych jakich dokonano na terenie woj. łódzkiego w ciągu ubiegłego roku. Sytuacja jest tym bardziej alarmująca, że z roku na rok notuje się wzrost przestępstw dokonywanych przez dzieci nie posiadające ukończonego 18 roku życia.

Analiza wykazała, że 48 procent młodocianych przestępców było w wieku od 7 do 13 lat, zaś 52 proc. od 13 do 17 lat. Przed sądem stają dzieci od lat 7! Litera prawa musi traktować je jako przestępców, ale kto tu naprawdę winien być oskarżony? Najwyższy czas powiedzieć — rodzice. Spośród 1533 dzieci, które w ciągu ubiegłego roku weszły w kolizję z prawem — 1353 posiada obojga rodziców, 89 oskarżonych to dzieci rodzin rozwiedzionych, 49 dzieci to półsieroty i 63 — sieroty całkowite. Nie bieda jest wobec tego czynnikami popychającym do przestępstwa. Jest nim rozkład moralny rodziny i brak opieki nad dzieckiem.

Dział naszej jurysdykcji, dotyczący opieki nad dzieckiem nie jest doskonały. Posiada wiele luk i niedomówień. Najpoważniejszą luką jest chyba brak przepisu o obowiązku alimentacyjnym rodziców wobec dzieci umieszczonych w zakładach państwowych. Jest to duże udogodnienie dla ludzi z tzw. marginesu społecznego, zrzucających ciężar wychowania swego potomstwa na barki państwa. Uzupełnienie tej luki jest zatem jednym z najpilniejszych zadań ustawodawcy.

Braki w literze prawa można wypełnić. Ale czym wytłumaczyć niechęć stosowania przepisów obowiązujących? Istnieje przecież dekret z 1956 roku o obowiązku szkolnym, upoważniający kolegiarno-administracyjne do nakładania na rodziców, nie posyłających dzieci do szkoły kar w wysokości do 1500 zł z zamianą na 5 dni aresztu. Kara ta może być powtarzana aż do odniesienia skutku. Istnieje wreszcie kodeks karny. Artykuł 246 kodeksu karnego przewiduje za znęcanie się fizyczne lub moralne nad dziećmi karę więzienia do lat 5. Czyż nie jest formą moralnego znęcania się nad dzieckiem powodowanie rozkładu rodzinnego przez alkoholizm, przez wstręt do pracy, uniemożliwiający zapewnienie mu wyżywienia i odzieży? Czyż nie jest formą moralnego znęcania się nad dzieckiem odebranie mu szansy życiowej w postaci wykształcenia? Czyż nie jest wreszcie formą moralnego znęcania się nad dzieckiem brak opieki doprowadzający go do przestępstwa?

To nie dzieci winny odpowiadać przed sądem za nieposzanowanie własności prywatnej i państwowej. Im zwichnięto charakter. Nie wpojono zasady co słuszne, a co złe. Co dobre, a co szkodliwe. Dorosli winni są dramatów życiowych młodego pokolenia, dlatego sprawiedliwość musi osiągnąć rzeczywistych sprawców.

sedno rzeczy MARIAN PIECHAL TYDZIEŃ Marii Dąbrowskiej

Mam na myśli zeszyły tydzień, kiedy to w dniach 15, 16 i 17 maja br. w Pałacu Staszica w Warszawie, a w dniu 19 maja w Kaliszu, w ramach uroczystości zorganizowanych przez Miejską Radę Narodową, odbyła się Sesja Naukowa Polskiej Akademii Nauk przy współudziale Związku Literatów Polskich poświęcona 50-leciu twórczości pisarskiej Marii Dąbrowskiej.

Zaproszony przez Prezydium Zarządu Głównego ZLP brałem oficjalny udział w tych jubileuszowych uroczystościach ku czci najznakomitszej współczesnej pisarki polskiej. Jej twórczość znana mi jest od swych początków, towarzyszyłem jej ewolucji nie tylko jako żarliwy jej czytelnik, ale jako eseista czy też recenzent, pisząc o „Ludziach stamtąd”, czy też o „Nocach i dniach” w przedwojennej prasie, a także po ukazaniu się tych wybitnych dzieł. Nie obce mi też były poglądy społeczne autorki, wyrażone zwłaszcza w takich zbiorach publicystycznych, jak „Kozdroże” i „Ręce w uścisku”, oparte na doktrynie Edwarda Abramowskiego.

Ala najbardziej i bez żadnych zastrzeżeń ujmowałem mnie wnikiwie artykuły Marii Dąbrowskiej o umiłowaniu mojej młodości Josephie Conradzie, Obok „Ludzi stamtąd” i „Nocy i dni” za trzecią najwybitniejszą pozycję w twórczości Marii Dąbrowskiej uważałem szczupłą książeczkę, która się ukazała przed trzema laty pt. „Szkice o Conradzie”. Zawiera ona pozycje pisane w okresie 35 lat, ale znajomość dzieł Conrada przez Marię Dąbrowską jest co najmniej o dziesięć lat wcześniejsza. Tak więc zarówno problematyka społeczna jak i artystyczna Conrada towarzyszyła twórczości Marii Dąbrowskiej stale od jej początków. Dno moralne i ogólne zasady etyczne autorki „Ludzi stamtąd” wywodziłbym z genialnego dzieła naszego angielskiego rodaka.

Aż dziw bierze, że wśród licznych uczonych i mniej uczonych referatów na temat różnych działów i aspektów twórczości Marii Dąbrowskiej, to kapitalne i podstawowe zagadnienie jej dzieła nie znalazło odpowiedniego wyrazu. Ten akcent jednak brzmiał w ogólnej tonacji wstępnych mów i gratulacji na otwarciu uroczystości zarówno w zarządzeniu prof. Kazimierza Wyki, przewodniczącego Sesji, jak w gratulacyjnych przemówieniach prezesa Polskiej Akademii Nauk, prof. Tadeusza Kotarbińskiego, przedstawiciela Uniwersytetu Warszawskiego, prof. J. Z. Jakubowskiego i przedstawiciela Związku Literatów Polskich, wiceprezesa Zarządu Głównego, Jerzego Zawieyskiego. Przemawiał też wzruszająco przedstawiciel Kalisza, miasto rodzinnego autorki, i młody przedstawiciel podwarszawskiej miejscowości, Komorowa, gdzie jubilatka spędza zazwyczaj letnie miesiące. Zwracała uwagę dość liczna ekipa gości zagranicznych, a więc z Czech, Jugosławii, Holandii, Francji, Węgier i Związku Radzieckiego.

Obrazy odbywały się przed i po południu, a więc były dość nużące dla autorki, która z godną podziwu wytrwałością przysłuchiwała się pilnie i uważnie każdemu referatowi, a potem łącznej dyskusji nad nimi. Otworzył obrady referat prof. dr Henryka Markiewicza z Krakowa pt. „Nocy i dni” na tle polskiej tradycji powieściowej. Jego niejako dopełnieniem

był następny referat czeskiego uczonego z Pragi, prof. dr K. Krejzłego, wygłoszony pięknie i płynnie w akcentie polszczyzną pt. „Powieść ziemianka w Polsce i Czechach na tle „Nocy i dni”. Te oba referaty i dyskusje nad nimi wypełniły przedpołudnie pierwszego dnia. Po południu usłyszeliśmy uczoność z Budapesztu, prof. dr E. Kovácsa w referacie pt. „Maria Dąbrowska i współczesny pisarz węgierski”, a potem o „Narratorze w „Nocach i dniach” mówił mgr J. Stawinski, a o „Publicystyce Marii Dąbrowskiej” mgr Tadeusz Drewnowski. W dyskusji zabrał głos znany krytyk, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wacław Kułbacki, zwracając uwagę na niezwykłą wartość przekładów Marii Dąbrowskiej, jak na przykład z duńskiego „Niels Lyhne’a” J. P. Jacobsena, a zwłaszcza z angielskiego słynnego „Dziennika Samuela Pepysa”.

W następnym dniu obrady usłyszeliśmy przed południem dwa referaty: na temat „Opowiadań Marii Dąbrowskiej” doc. dr Ewy Korzeniowskiej i o „Twórczości Marii Dąbrowskiej dla dzieci i młodzieży” mgr K. Kulickowskiej, po południu o „Dramatach Marii Dąbrowskiej” mówił mgr J. Gosliński z Warszawy, a o „Nocach i dniach” J. Stanisławski z Moskwy. Inny referent zagraniczny, a mianowicie E. Diekmann z Berlina (NRD), mówił o „Szkicach o podróży” jako przyczynku do obrazu Niemiec w twórczości Marii Dąbrowskiej.

Trzeci dzień, zdaniem moim, był najciekawszy, oczywiście najciekawszy dla pisarzy i poetów, gdyż poświęcony był dyskusji na temat językowej rzemiosła pisarskiego. Otwierał go referat znanego językoznawcy, prof. dr Zygmunta Klemensiewicza z Krakowa pt. „Skladnia pisarskiego języka Marii Dąbrowskiej” i drugi referat Juliana Przybosa pt. „Centrum polszczyzny”. Oba były hołdem złożonym niepokalanemu czystości i sprawności polszczyźnie dzieł Marii Dąbrowskiej.

Czwarty i ostatni dzień obrady przeniesiono do Kalisza. Przewidziane tam referaty, to prof. dr Kazimierz Wyki o „Krytyce literackiej Marii Dąbrowskiej”, następnie mgr A. Piórnowej „O Marii Dąbrowskiej w krytyce literackiej w latach 1924–1939” i wreszcie dwa referaty gości zagranicznych: H. Tejsowej z Pragi o „Dziele Marii Dąbrowskiej w Czechosławii” i G. Kerenyi z Budapesztu o „Nocach i dniach”, w odcach węgierskiego czytelnika”.

Dla mnie osobiście najcenniejsze były spotkania i rozmowy kulturalne z samą Jubilatą, następnie z szeregiem dobrych znajomych i przyjaciół oraz poznanie się i gawędy z kilku gośćmi zagranicznymi. Z tych nieoficjalnych przystolkowych gawęd można było ciekawszą nawet od oficjalnie wygłoszonych, zresztą bardzo cennych, referatów.

Tak upłynął tydzień, na który złożyło się 50 twórczych lat Marii Dąbrowskiej. Oja cenna, która płacił pisarz za kilka dni swego jubileuszu.



Dokończenie ze str. 1

Z początku jednak było dość nieprzejmnie. Zainaugurowano II Kaliskie Spotkania Teatralne współczesną polską sztuką Jarosława Abramowa p. t. „Zasada”. Słabutka to sztuczka i naprawdę trudno było zrozumieć, czemu Teatr im. Bogusławskiego w Kaliszu zdecydował się ze słuchowiska radiowego, jaką kiedyś była „Zasada”, stworzyć spektakl teatralny. Jest to historia o dyrektora z boją przesłanością w AL, który w piętnaście lat po wojnie zdecydował się zrobić „kant”. Wszystkiemu winna była jego piękna nudząca się żona — „la femme fatale”. Polski powiałowcy; strzeżmy się ładnych i młodych żon naszych dyrektorów. O tej żonie jest zresztą najmniej; autor prezentuje w formie skeczy cały życiorys bojowy dyrektora; można tę sztuczkę zacząć i skończyć w dowolnym miejscu, można z niej usunąć poszczególne sceny i też nie nie zaszkodzi. Nie ma więc w ogóle o czym mówić. Dodam, że pod względem aktorskim najbardziej interesującym okazał się młody aktor kaliski — Kazimierz Gaweł, a reżyserował sztukę Zbigniew Bessert.

Drugi spektakl teatru w Kaliszu okazał się bardziej interesujący. Zaprezentowano „Aniola i czarta” Fernanda Crommelyncka, mało znanego u nas belgijskiego pisarza, urodzonego w 1885 roku. Wyznaje, że sztuka ta zacięwała mnie ogromnie. Wydaje mi się, że gdyby reżyser Tadeusz Kubalski odczytał ją właściwie, byłaby to najbardziej współczesna sztuka, jaką zobaczyliśmy podczas II KST. Bohaterem „Aniola i czarta” jest pan Ripace, choć nie ma go na scenie, nigdy go nie widzimy. Poznajemy tylko jego żonę — piękną Leonę, która sypia ze wszystkimi młodzieńcami miasteczka, a także z własną pokojówką, lesbijką. Nie wemy, co pan Ripace sądzi o swej żonie i jej postępkach. Gdy żona jego oddaje się amorowi, on wykazuje doskonałą obojętność, chrapie, aż cały dom się trzęsie. Kochankowie pięknej Leony zamyślają usunąć pana Ripace z tego świata i „machnąć” się za bogatą wdówkę, ona zresztą także gardzi i nienawidzi swego męża, bo

jest wstrętny, bo brzydko je, chrapie, nigdy nie mówi, ciągle czyta gazetę albo jeździ na polowania. Lecz nagle pan Ripace umiera. Bez niczyjej pomocy. Po prostu — umiera na atak serca. I oto w domu pana Ripace pojawia się jego... kochanka. Młoda, śliczna dziewczyna — Julia. Okazuje się, że pan Ripace tylko swój żonie wydawał się odrażający, nieciekawcy, wstrętny. Dla tej młodej dziewczyny był piękny, poetyczny, biegał z nią po murawie, pisał listy jak poeta, był czuły, wzruszający, namiętny, wspaniały.

Dwie kobiety rozmawiają

Kaliskie spotkania i nieporozumienia

o panu Ripace. O jednym i tym samym mężczyźnie. Lecz dla jednej to był „Czart”, dla drugiej „Aniol”. Sztuka Crommelyncka powiada, że żona może obok męża przeżyć prawie całe życie, a jednocześnie nie o nim nie wiedzieć. A może sztuka ta mówi po prostu że każdy mężczyzna jest inny dla każdej kobiety? Jedna kobieta potrafi z tego samego mężczyzny wydobyć warstwy najbardziej tkliwe i romantyczne, druga zaś — czyni go wulgarnym i wstrętnym? W każdym mężczyźnie jest i „Aniol” i „Czart”.

„A może my mówimy o dwóch różnych ludziach?” — woła w pewnej chwili pani Ripace. Nie. mówią o jednym i tym samym człowieku. Nigdy się zresztą nie dowiemy, jaki pan Ripace był naprawdę...

Niestety, chyba źle odczytano tę sztukę. Dostrzeżono w niej wyłącznie mechanikę narastającego mitu o panu Ripace, gdy w rzeczywistości jest to utwór o niepoznawalności człowieka, o tragicznym milaniu się ludzi, wzajemnym niezrozumieniu, nawet jeśli ludzie ci żyją z sobą pod jednym dachem, są mężem i żoną. Spektakl ten był ciekawy także i aktorsko. Starzycka, Hai-

del, Rząsa — stworzyły sylwetki głębokie i przekonujące.

„Drugi dzień II KST przyniósł spektakl poznańskiego Teatru Satyr, trzy jednoaktówki — „Piersi Tereźjasza” Apollinaire, „Lekcje” Ionesco i „Karola” Mrożka. Niestety, Apollinaire zupełnie nie sprawdził się na scenie, zestawienie zaś Ionesco i Mrożka w jednym spektaklu dość ostro pokazało ioneskowski rodzaj „Karola” i chyba całej twórczości Mrożka. Tylko Ionesco wyszedł tu obronną ręką, znalazł tu doskonałego wykonawcę roli profesora w aktorze Marianie Pogaszu.

Jakże żałowałem, że podczas tego spektaklu nie było w Kaliszu nikogo z łódzkiego „7.15”. Może dałby się przekonać, że miara ambicji tego typu teatru niekoniecznie musi być „Komed omyłek” Szekspira, ale właśnie Ionesco. Przynosi on wielki i gorzki teatr, przynosi satyrę najwspanialszą jaką kiedykolwiek oglądałem.

Trzeci dzień II KST — to Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze z „Kondukiem” Drozdowskiego i „Przedziwnym kochankiem” Corneilla. „Kondukt” na scenie (reżyserował go Marek Okopiński) wydał mi się o wiele ciekawszy niż w czytaniu. Uderzał sprawnością dialogu, wyrazistością sylwetek ludzkich, zabrzmił świeżo — może właśnie dlatego, że jest on tak jednoznaczny, jednomyślny.

Na „Przedziwnym kochanku” Corneilla zdarzyło mi się coś zabawnego. Oto mój festiwalowy sąsiad, dziennikarz który przez pierwsze dni KST bardzo wydziwiał, że sztuki dotychczas reprezentowane są trudne, że pewnie ich nikt nie rozumie, że trzeba grać klasycznie, bo klasyka jest dla mas — tenże dziennikarz wyszedł z teatru już po pierwszym akcie Corneilla. „No, przecież to klasyka” wołał za nim. Ale nie wrócił. A przecież uroczą i naprawdę wspaniałą podającą tekst była w tym przedstawieniu Halina Winiarska. Dla niej samej warto było znieść na scenie „Przedziwnego kochanka”. Interesująca wydała mi się także scenografia Stanisława Ba-

ton Syng? Zdaje sobie przecież dobrze sprawę z funkcji, jaką powinien spełnić teatr w tak małym ośrodku jak Gnieźno. Jego zadaniem winna być walka z małomiasteczkowym kulturowym, z marazmem, z dulszczyzną. Czemu taki teatr nie bierze na warsztat Zapojskiej, Rittnera, czy czegoś w tym rodzaju? O co chodzi, przyjaciele? Czy o to, żeby tylko wystawić i grać? Czy o to, aby to co się gra współbrzmiało z życiem, z problemami środowiska w jakim teatr działa?

Piątego dnia II KST wystąpił Teatr Powszechny z Łodzi z „Kwiatami łódzkimi” Barbary Sowińskiej. W kołach krytyków obecnych w Kaliszu uznano występ Teatru Powszechnego w Łodzi za znaczny regres w stosunku do tego, co teatr ten zaprezentował w roku ubiegłym. Ja podpisuję się pod recenzją swojego czasu opublikowaną w „Odgłosach”. Reżyseria „Kwiatów łódzkich” Romana Sykały była solidna i pomyślna, a scenografia Józefa Rachwałskiego znacznie zyskała w mych oczach, gdy zestawiałem ją ze scenografiami ogladanymi w Kaliszu. Ale po siedemnastu latach Polski Ludowej żąda się już od dramaturga nieco więcej niż do brych intencji i politycznego zaangażowania. W teatrze bardziej może niż w innych dziedzinach sztuki uwidacznia się brak warsztatu dramaturgicznego.

Nazajutrz oglądaliśmy Teatr Dramatyczny z Warszawy z „Indykami” Mrożka, w reżyserii Zbigniewa Bogdańskiego. Uznany za najbardziej interesujący teatr polski — Teatr Dramatyczny zaprezentował tak niski poziom reżyserii i gry aktorskiej, że przez cały czas przedstawienia czułem się po prostu zażenowany. Sie działałem w trzecim rzędzie, a przecież dołatywało do mnie co dziesiąte słowo z kwestii wypowiadanych przez Ludwika Pają, Józefa Durasza, czy Stanisława Wyszyńskiego. Aktorzy belkotali pod nosem, mówili w kulisy lub do siebie w sobie tylko zrozumiałym języku. Barbara Krafftówna dała zupełnie przedziwny poziom gry; najlepszy był Wojciech Pokora, choć chwilami szarżował niemożliwie. Reżyser okazał nieporadność, jak nie miał co począć z aktorem, to kazał mu stać i rozmyślać. Ani jednej dobrze rozwiązanej mizant sceny. Daj Boże zdrowie prowincjonalnym teatrom.

Nie dziwię się, że Teatr Nowy z Łodzi zebrał wszystkie główne nagrody za „Historię o Chwałebnym Zmarłychwstaniu Pańskim”. Dali je krytycy, którzy widzieli warszawski spektakl „Zmarłychwstania”. Wiedziałem go także i ja — daleko mu do łódzkiego przedstawienia, do jego finezji, lekkości, wdzięku i liryzmu. Porównać te dwa spektakle, to tak samo jak byśmy chcieli zestawiać grubą podkuty buciur — z delikatnym wdzięcznym damskim pantofelkiem. Różnica ta nie polega oczywiście na reżyserii, wszak i tu i tam reżyserował Dejmek, przedstawienia obydwa są identyczne w swej koncepcji. Zaważyło aktorstwo — i tylko aktorstwo.

Sporo komentarzy wzbudziło samo zestawienie sztuk przywiezionych do Kalisza przez Teatr Nowy z Łodzi, „Obrońca Sokratesa” i „Chwałebne zmarłychwstanie” — to wyłączenie inscenizacji Dejmekowskiej. Złośliwi nazwali to „wexsem bez pokrycia”, bo przecież pokrycie, to znaczy sam Dejmek jest już w Warszawie. Zycieliwi dostrzegli w tym brak wiary ze strony nowego kierownictwa teatru w siły swego teatru. Sądzę, że lepiej by się stało, gdyby Teatr Nowy zamiast „Obrońcy Sokratesa” przywiózł do Kalisza „Brytannika” w reżyserii Minca; inscenizacja ta była już przecież gotowa. Zresztą, można było przywieźć jeszcze coś innego, co pokazałoby, że teatr posłada młodych zdolnych reżyserów, że nie zrezygnuje ze swych ambicji.

Bardzo chłodno przyjęto w Kaliszu sztukę O'Neill — „Księżyc świeci nieszczęśliwym”, w reżyserii Jerzego Rakowieckiego, którą pokazał Teatr im. Osterwy z Lublina. Mimo dużej reżyserkiej klasy i chyba dość dobrego aktor-

JERZY S. FELIKSIK

NA PRZEDMIEŚCIU

Na przedmieściu, gdzie wszystko jest jak chleb powszedni,
Stary cmentarz krzyżami zamuca ulicę,
Szkoła stoi naprzeciw gwarna jak gołębnik,
I śmiech dzieci się płacze z zadumą nad życiem.

Lecz codziennie przechodnie patrzą obojętnie
Tak na szkołę wesółą jak i chmurny cmentarz,
I nie słyszą, że dęby szumią dzieciom requiem,
A dzieci dla umarłych śpiewają o dębach.

Smutny dzwon podczas lekcji ogłasza pogrzeby,
I główki z ciekawości unoszą się z ławek.
Może któryś z tych chłopców czyta adres wiedzy,
Jak w książkę spoglądając na cmentarną bramę.

Na przedmieściu, gdzie wszystko jest jak chleb powszedni,
Dzieci nieraz przy grobach myślą o słodczykach.
Niechaj jednak się strzeże nauczyciel chemii
Chłopca, który wciąż pyta o zagadkę życia.



STARA CEGIELNIA

Dwie siwe brzozy i komin cegielni
Stoją za miastem pod jednym obłokiem.
Rudzi ceglarnie glinę kładą w ogień
Jak niegdyś chłopcy ziemniaki w popielnik.

Stara cegielnia pod białym obłokiem,
Choć niepiękna jeszcze jest potrzebna.
Nieprędko znajdzie w niej miejsce włóczęga
Na swoje życie przetarte jak łokieć.



stwa, jakie pokazała zarówno Danuta Nagorna i Aleksander Aleksi, zaważyła chyba sama sztuka, jej problemy trochę zwietrzałe. Okazuje się czymś bardzo ryzykownym grać dzisiaj O'Neill, który odnosił kiedyś ogromne triumfy.

Natomiast „Montserrat” Roblesa w reżyserii Lecha Komarnickiego, spotkał się z wielką życzliwością i dużym uznaniem u widzów i krytyków. Zachwyciła wszystkich gra Stanisława Mikulskiego w roli Izquierdo. Spektakl był niezwykle jednolity, subtelny, miał bardzo dobrą scenografię Jerzego Torohczyka. Myślę, że była to najlepsza scenografia jaką oglądaliśmy w Kaliszu.

Nazajutrz przedstawił się nam Teatr im. Słowackiego w Koszalinie. Najpierw pokazał „Romeo i Julię” Szekspira w reżyserii Tadeusza Aleksandrowicza. Z teatrem tym przez długi czas związany był mit, że potrafi on dobrze inscenizować Szekspira. Miał ten pryszni pod czas II Kaliskich Spotkań Teatralnych.

Zupełnym nieporozumieniem okazała się także „Leonca i Lena” Büchnera wydobytą przez ten teatr w ramach koszańskich teatralnych wykopków archeologicznych. Nigdy w życiu nie napatrzyłem się na tyle bieganiny na scenie, po schodach w tę i z powrotem, po przeróżnych spiralach — ile w Teatrze Koszańskim. Ni gdzie indziej nie widziałem tyle pretensjonalności, co w tym właśnie teatrze. Odnosiło się wrażenie, że teatr ten —

przy swych bardzo skromnych możliwościach — pragnie zadziwić wszystkich. Dla tego teatru warto wskrzesić pojęcie „formalizm”.

Zakończył II KST dzień poświęcony Teatrowi Polskiemu z Poznania. Oglądaliśmy najpierw Frischa „Don Juana” czyli umiowanie geometrii. Jest to chyba najstarsza sztuka Frischa, położył ją zresztą zupełnie Hieronim Kobiędzka w roli Don Juana. Był niesympatyczny, pozbawiony wdzięku, w ogóle niedobry. Powiada Frisch w przedmowie do „Don Juana”, że don Juan nie dlatego jest niewierny, że jest niewierny, nie dlatego przechodzi od jednej kobiety do drugiej kobiety, że pragnie coraz nowiej rozkoszy, lecz dlatego, że kocha geometrię bardziej od kobiety, musi więc kobiety porzucać wciąż na nowo.

Można się pod tym podpisać lub nie. Ja się nie podpisuję.

Potem oglądaliśmy „Pierwszą konną” Wiszniewskiego w reżyserii Jana Perza. Sztuka wyreżyserowana i zagrana solidnie, dużo w niej młodych aktorów, którzy wyszli z Łodzi i chyba bardzo się rozwinieli poza Łodzią. Uważają oni, że poza Łodzią też można się rozwijać, może nawet szybciej i wszechstronnie.



Powszechny kompromis

Dalszy ciąg
ze str. 1

społeczne, czy też, jak się to dosyć patetycznie powiada, społeczne zamówienie. I ten drugi termin jest nawet bardziej adekwatny. Gdyż niezależnie od wszystkich różnic, różnic, z estetycznego i wychowawczego czy poznawczego punktu widzenia bardzo istotnych, każda z wymienionych przez mnie serii odznacza się cechą wspólną — wszystkim pozostałym — jednolitością. Autorzy książek nie porozumiewają się z ich przyszłymi czytelnikami, a jednak z góry wiadomo, że na określony typ literatury czeka odpowiedni odbiorca, opublikowanie zaś tytułu w jednej z serii samo przez się określa gatunek książki, niejako identyfikuje ją właśnie z estetycznego, poznawczego, wychowawczego punktu widzenia. W każdym zaś razie czytelnik nie jest narażony na zaskakujące niespodzianki i na pewno w celofanowych tomikach PIW nie spotka powiedzmy fraszek Szaudyngera, w „Czytelnikowskiej Nike”, „Zębów tygrysa”, a w wydawanym przez MON cyklu „Tygrysa” nie znajdzie „Procesu” Kafki.

Tego typu antynomie, choć może nie mające aż tak wielkiej rozpiętości, nie oszczędzają nas jednak przy lekturze Biblioteki Powszechnej! Mój wykrzyk nie oznacza wcale, że obok pozycji o daleko idących tendencjach moralistycznych znajdują się tam książki głoszące pochwałę zabijania ludzi, uwielbienie dla przestępców czy też nakazy permanentnego wchodzenia w konflikty z prawem i zasadami współżycia społecznego. Zgorszonemu wyrażnie od razu, że w ogóle nie ma w Bibliotece Powszechnej literatury rewolwerowej, typem reprezentowanego przez nią bohatera nie jest Arsen Lupin, ani choćby John kowboj, a każda pozycja, bez najmniejszego wyjątku, odznacza się głęboką humanistyczną wymową. Z wychowawczego punktu widzenia są to książki bez zarzutu, może ośmieszony przez Boya książd Pirożyński mógłby im przypisać jakąś niewłaściwość, ale na szczęście jego wielość nie zaskada w komisjach wydawniczych i, co chyba ważniejsze, coraz rzadziej spowiada współczesnych czytelników. Odgryzając się od kryteriów oceny wielość trudno mi się powstrzymać od całego ciągu zastrzeżeń, co wynika może z faktu, wstyd się przyznawać, że kiedy Biblioteka Powszechna była jeszcze w sferze projektów i dyskusji, wyimaginowałem sobie jej obraz całkowicie odmienny od tego, który mnie teraz przesładuje z półek księgarni i miejskich czytelni.

Wyobrażałem sobie jak to będzie ładnie oglądać tanie tomiki w praktycznych okładkach poczętnych w dołdopornym, przezroczy-

stym lakierem, a przede wszystkim czytać je z nieślabnącym podziwem dla inteligencji wydawcy, który mądrze zestawiał tytuły, do tego stopnia rozsądnie, że można całkowicie zaufać serii i spokojnie wyruszać (swego czasu pasjonowali się taką zabawą) na Księżyc bez obawy braku interesującej i niezbędnej lektury. Rzeczowe dyskusje w prasie, publikowanie wypowiedzi przeciętnych ludzi, zapowiedź rozpisanja subskrypcji przemawiały raczej za tym optymistycznym widzeniem. Już jednak pierwszy wzbudził niejako obawy o całość edycji. Od początku stało się wiadome, że wydawcy nie mają właściwie koncepcji Biblioteki Powszechnej, a więc biblioteki dla każdego, że dyskusja z tam gazet przeniosła się na półki księgarnie, a z chwilą kiedy „słowo stało się cia-



łem” wszelka korektura jest już w zasadzie niemożliwa. Proszę mi wybaczyć niezamierzoną nieprecyzyjność, abstrahując zupełnie od wartości książek, ale już pierwsze dziesięć tytułów uderza nieporównywalnością literackich zjawisk. Jest „Anna Karenina” Tolstoja, możemy przewidywać, że następną pozycją będzie „Gospoda pod królową Giesią Nóżką” Franca’a, to tylko przykładowo, a znajdujemy „Dziękuję ci” Gołajczyńskiego. Wydano w dwóch tomach „Pamiętnik Wacławy” Orzeszkowej, a obok niego „Czas życia i śmierci” Remarque’a.

Sądę, że już ta krótka prezentacja daje jakiś obraz edytorskiego bałaganu, a z drugiej strony wskazuje trudność, przed którą musieli stanąć wydawcy chcąc jednocześnie dostarczyć zajmującej i wartościowej lektury, a z drugiej strony umożliwić niezorientowanemu czytelnikowi przyswojenie ciekawych zjawisk literatury światowej i krajowej. Gdyż taki był chyba cel Biblioteki Powszechnej. Należało się więc spodziewać bardzo reprezentatywnych tytułów i autorów, należało się spodziewać przypisów do każdej pozycji informujących w najprzystępniejszy sposób kim jest twórca określonej pozycji, wprowadzających w klimat okresu, z którego dane dzieło pochodzi, wprost się prosiło, choćby o najkrótszy komentarz. Zamiast tego otrzymaliśmy lakoniczne, nie zawsze inteligentnie zredukowane noty reklamowe na okładce. Wydawcy zamiast

dążyć do rozsądnego przedstawienia trudności związanych z publikowaniem tak odpowiedzialnego, gdyż opierającego się na powszechnym zaufaniu, cyklu, wolali ich wcale nie zauważyć. Potwierdza to każdy, następny tomik omawianej serii.

O ile stosunkowo niewiele możemy zarzucić zestawowi prozy rosyjskiej, choć zabrakło Dostojewskiego, o tyle literatura radziecka przedstawia się w wymiarze Biblioteki Powszechnej nadzwyczaj ubogo, jej obraz jest bardzo starannie zafalszowany. Nie znajdziemy ani Gorkiego, ani Aleksandra Tolstoja, nie istnieje Szolochow, ani Erenburg. Zamiast tego zostaliśmy uraczeni zbeletryzowanym reportażem Czajkowskiego pt. „Rok życia” czy „Zdobyciami stepów” Bułłinnowa.

Znacznie mniej zarzutów nieprzemysłowości możemy postawić literaturze francuskiej, może dlatego, że reprezentują ją zaledwie dwa tytuły „Colas Breugnot” Rollanda i „Miłość nie jedno ma imię” La Mura. Głoszę niekoniecznie za publikowaniem w ramach Biblioteki Powszechnej Becketta, ale powinno się w niej znaleźć miejsce dla Gide’a, a jeszcze bardziej dla prozy Aragona, nie będę postulował antypowieści, choć by nie zaszkodziły, ale dlaczego nie pokusić się o „Obcego” Camusa, który już dawno nie był wznawiany? Proszę wybaczyć, że wymieniam obok siebie zjawiska tak bardzo rozrzucone w czasie, ale trudno sobie wyobrazić Bibliotekę Powszechną bez Franca’a czy Verorsa i tyłu innych.

Braki dotyczą wszystkich niemal literatur świata. Przykładowo z amerykańskiej publikuje się Twaina, Dreisera, a zapomnia o Londonie czy Lewisie, jest hasło: Hemingway („Komu bije dzwon”), ale nie następuje odzew w postaci Steinbecka, Faulknera.

Proza niemiecka to T. Mann, L. Feuchtwanger i E. M. Remarque, ale wprost brakuje Zweigów i Brechta, że już pominię H. Hesse.

Większość powszechnie uznanych dzieł światowej prozy nie jest w ogóle reprezentowana. Ale o ile można to wytłumaczyć ograniczonymi dewizowymi i faktem, że równoległe ukazują się „Biblioteka powieści XX wieku” i „Biblioteka Arcydzieł”, niczego nie można usprawiedliwić absolutną niedbałości, jeśli idzie o książki rodzime. Wiele zastrzeżeń budzi choćby zestaw klasyki, mam wątpliwości czy wymieniony już przeze mnie „Pamiętnik Wacławy” Orzeszkowej jest rzeczywiście najbardziej reprezentatywny dla dziewiętnastowiecznej pisarki. Na okrasie dodano więc „Lalkę” Prusa, „Wierna rzeka” Żeromskiego czy też „Pieśń kobiet” Boya. Jest to niemal wszystko i właściwie nie wiadomo, po co w ogóle zaczęto publikować w ramach Biblioteki Powszechnej kla-

sykę, jeśli jej zakres ma pozostać tak wąski, a wszystko przemawia za tym, że raczej wąski zostanie. Nie jestem przeciwnikiem klasyki, uważam nawet, że w ramach popularnego cyklu jest ona niezbędna, gdyż może stanowić „pierwszy stopień wtajemniczenia” i dzięki niej niewyrobiony czytelnik łatwiej zapozna się z nowymi formami, ale jestem zdecydowanym przeciwnikiem rozpoczynania przedsięwzięcia niezbyt dokładnie uświadomionych, z góry skazanych na niewykonalskość.

W obrazie literatury współczesnej daremnie szukać T. Borowskiego, W. Macha, St. Dygata czy W. Gombrowicza (jeszcze raz przepraszam, że znowu wymieniam obok



siebie różne zjawiska literackie), znajdziemy za to Brzechwę, a raczej jego książkę „Gdy owoc dojrzeje”, choć czuje się on w prozie raczej niepewnie i właściwie dla niego miejsce, to twórczość dla dzieci. Gołajczyńskiego i Dąbrowskiej aż dwie pozycje, kiedy daremnie szukać Brezy i A. Rudnickiego i tyłu innych przerabianych choćby w programie szkolnym jedenastej klasy. Właśnie zestaw tytułów książek polskich autorów niepokoi najbardziej, gdyż nie ma najmniejszego sensu dublować w ramach Biblioteki Powszechnej lektur załączonych do użytku uczniów przez Ministerstwo Oświaty.

Jeszcze większa przypadkowość panuje w dziedzinie literatury popularnonaukowej, właściwie pozycje poważne to „Słownik wyrazów obcych” i „Pietraszkowski” „Psychologia sprawnego myślenia”, inne tytuły nie mają chyba większego znaczenia, wcale nie czuje się ich niezbędności.



Przyznaję, jeszcze raz że wstydem przyznaję, że nie tak wyobrażałem sobie popularną serię książek. Dziwna przypadkowość przyniesionych przez nią pozycji dowodzi, że nie tak daleko zagłębiliśmy od innej, międzywydawniczej serii sprzed kilku

lat, kiedy do jednego worka rzuciło się za 2 zł 40 gr dzieła wybitne, obok najgorszych miernot, aż przestraszony czytelnik przestał je w ogóle kupować, gdyż niespodzianki sięgały zbyt daleko. Dzisiejsza edycja bije poprzednią na głowę większą starannością techniczną, lepszym papierem i bardziej polyskliwymi okładkami. Ale trudno się tu doszukać jakiegokolwiek ładu, trudno zrozumieć motyw, dla których publikuje się jednego autora, a drugiego zupełnie przemilcza, trudno uwierzyć w jakąś wydawniczą politykę i współpracę zainteresowanych instytucji. Dodajmy prócz tego, że często w sztuczny sposób podnosi się cenę poszczególnych tytułów, rozbijając je na cieniutkie tomy (10 zł każdy), czego najlepszym dowodem „Stara baśń” Kraszewskiego za 30 zł w ramach Biblioteki Powszechnej opublikowana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą.

Drukowana w Polsce Biblioteka Powszechna ma swoje odpowiedniki w krągach demokracji ludowej, że wymienię tu biblioteczkę Reclama (NRD), której pozycje liczy się już na tysiące. Trudno oczywiście prześledzić taką ogromną ilość tytułów, wspomnę jedynie, że niemiecki wydawca nie obawia się ogłaszać obok beletrystyki np. Leonarda Franka cząstki Kantowskiego dzieła, że znalazło się w niej miejsce na dramaty, a wreszcie niemal każdy tomik zaopatrzony jest w wartościowe przypisy.

Sądę, że i w naszej serii powinno się rozszerzyć zakres prezentowanych literackich gatunków, wprost się prosi o jakąś antologię noweli polskiej, nie tylko zresztą nowej. Antologię tego typu cieszą się ogromną popularnością na Zachodzie, choćby w Anglii czy USA, a przecież tam wydawca na pewno nie dokłada do nich ani grosza. Należałoby wznowić antologię poezji francuskiej, Ważykowska z r. 1947 jest już dawno wyczerpana, ogłosić antologię liryki angielskiej, radzieckiej itd. Pewien postęp w tym względzie zrobiło Wydawnictwo „Iskry” publikując zestaw wierszy egzotycznych anonimowych autorów przełożonych przez Siolarka w podroczniczej serii, gdzie dotychczas ukazywały się reportaże.

Wydawniczy kompromis, przymykanie oczu na przypadkowość jest w odniesieniu do Biblioteki Powszechnej zjawiskiem niepożądanym ze społecznego punktu widzenia. Seria tego typu powinna być najlepszym przewodnikiem po wszystkich literaturach świata, oddziaływać poznawczo i wychowawczo. Ale nie tylko. Jak mi się wydaje cykl popularnych książek właśnie z uwagi na szeroki zakres wpływów powinien być w pierwszym rzędzie narzędziem estetycznego oddziaływania.

KONRAD FREJDLICH

informacje i zaczepki

Poniższe zainteresuje zapewne tych wszystkich, którzy w sekrecie pielęgnują jakieś estradowe (piosenka, recytacje, muzyka) uzdolnienia. Dla nich to właśnie Międzyzakładowy Dom Kultury przy ul. Przedziankiej 68 wspólnie z Komitetem Dzielnicowym ZMS (Widzew) urządza za kilka dni, bo już 28 maja imprezę pod nazwą „Estrada dla wszystkich”. Organizatorzy zapewniają, że nagrody dla wyróżnionych będą zarówno cenne jak i atrakcyjne. Kto więc marzy o estradowych laurach niech zapamięta adres: Międzyzakładowy Dom Kultury, Przedzianka 68, w godzinach od 10 do 20, telefon 444-29. Tam należy zgłaszać swój udział. Zyczymy powodzenia.

Markowi z mitego „Expressu” znowu zabrakło tematu do felietonu. W związku z tym smutnym faktem zajął się starym zwyczajem „Odgłosami”, a między innymi niniejszą rubryczką. Marek (wiersz), „Informacje” bywały nieścisłe, a zaczepki mało ryterskie”. I zaraz po tym stwierdzeniu pisze: „Dziennikarze współpracujący z „Odgłosami” układali hasła dla Zarządu Zieloni Mielskiej”. Informacja Marka jest, niestety, nieścisła i mało ryterska, bowiem adresowana jest do czytelnika, który ze względu na swoje specyficzne zainteresowania czyta wyłącznie „Express” i nie może mieć własnego sądu ani o niniejszej rubryce, ani tym bardziej nie może być zorientowany kto na a p a w dę wymyślał niefortunne hasła o Zieloni. Ale Marek ma rację. Ma ją na pewno pisząc, że „przy czytaniu rodzą się czasem różne refleksje”. To prawda. Może nie najnowsze, ale zawsze...

W ubiegłym tygodniu odbył się w Łodzi Ogólnopolski Przegląd Chórów Studenckich. W przeglądzie wzięli udział studenci z Warszawy, Gdańska, Lublina, Opola i oczywiście z naszego miasta.

Profesor Michał Orlicz oraz reżyser Zbigniew Kuźmiński gościli ostatnio w Belwederze, gdzie odznaczono ich Krzyżami Oficerskimi i Orderu Odrodzenia Polski.

W Łodzi zlikwidowano ostatnio dom schadzek kategorii „S”. Do najmłodszych gości należeli lekarze, inżynierowie i... adwokaci. Ci ostatni z uwagi na nielegalny charakter instytucji korzystali z niej wyłącznie poza godzinami pracy.

W ramach Dni Oświaty, Książki i Prasy w Bibliotece Uniwersyteckiej eksponowana była wystawa pod nazwą „Współczesne techniki grafiki artystycznej”, na której zgromadzone liczne przykłady nowoczesnej grafiki ze spuścizny po profesorze Ludwiku Tyrowiczu oraz z własnych zbiorów Biblioteki.

J. W.

Jest w tym trochę prawdy. Bo na przykład prawdą jest, że podczas II KST w kawiarniach kaliskich odbywały się spektakle przeróżnych teatrów. Teatr Propozycji z Kalisza przedstawił „Eurydykę” J. M. Rymkiewicza, a Teatr „Pięciu” z Poznania „Eulidema” Platona ba nawet Gniezno posiada teatr Propozycji i pokazało Rittnera „Od-wiedźnię o zmroku”. A Łódź?... Eee, lepiej nie mówić.

II Kaliskie Spotkania Teatralne nasunęły mi wiele refleksji. Jasnym stało się dla

minie to, co do tej pory tylko przeczuwałem. Dyrektorów teatrów prowincjonalnych dręczy ambicja, dręczy kompleks niezauważenia przez krytykę warszawską. Aby zostać zauważonym, dostrzeżonym — dokonuje się najróżniejszych sztuczek, kopie się, grzebie, wytyka za lamusa — a nuż to chwyci, zachwyci, zwróci uwagę? Odczuwa się zgnębienie w skutkach gonitwy za prapremierami za wszelką cenę, i to nie prapremierami sztuk współczesnych, ale ótrzępanych z kurzu w rodzaju

„Leonie i Lena”. Próbuje się zaszokować nazwiskami, których nikt nie zna, sztukami, których się nigdy nie grywa i nie grywało. Żeby tylko powieść w Warszawie: „Pa-trzcie, taki gra-dolek, a gra-ja coś takiego, co u nas nikt się nie ośmieli zagrać”. Teatry stają na głowie, na rękach, na jednej nodze na drugiej no-dze, w czapczkach z dzwonkami, w blażeniskich strojach — byle tylko ktoś je dostrzeż, zauważył. Byle urósł mił, pochlebny, a osiągnięty tanim kosztem. Nie wdać jakoś, aby

myślano o dobrej warsztatowej robocie na sztukach sprawdzonych, mądrych, noszących współczesne treści. Nikt nie myśli o służeniu swemu środowisku, o kształtowaniu jego gustów, zmianianiu jego umysłowości i obyczajowości, a tylko o zabyśnięciu czymś nowym i nieoczekiwanym. Skutki takiej postawy będą kiedyś bardzo opłakane.

Z drugiej jednak strony istnieje wielka sprzeczność nie to przewidywania. Publiczność na prowincji żąda klasyki, którą rozumie. A jednocześnie teatry na prowincji

nie są w stanie unieść repertuaru klasycznego — przekonaj mnie o tym, niezbicie spektakli „Romeo i Julia” Szekspira zaprezentowany przez Teatr Koszaliński lub Cornelle w Zielonej Górze. Teatry na prowincji najlepiej ukazują się w sztukach współczesnych. A jednocześnie tych sztuk właśnie najbardziej się lekają.

Nowoczesna sztuka niosąca z sobą współczesne treści ludzkie — z trudem dociera do teatrów na prowincji. Na razie przede wszystkim dotarły tam nieporozumienia związane z pojęciem nowoczesności. Zamiast niej pojawia się dziwactwo, próbuje się wy-

kopków archeologicznych, galwanizuje się obumarłe nazwiska. Wszystko to w imię „nowoczesności” którą w końcu przeciętny widz teatralny zacznie nienawidzić, nie zdając sobie sprawy, że podano mu do zjedzenia rzeź soczyste jabłko, lecz drewniany, pomalowany rekwizyt teatralny, na którym można sobie polamać zęby.

ZBIGNIEW NIENACKI

odgłosy str. 7

KRYSZYNA KASZYŃSKA

NA JUBI- LEUSZ TEATRU



Pisząc o Jubilatce, skłonni jesteśmy używać słów podniosłych. Jakoś tak się dzieje, że mimo woli wyolbrzymiamy fakty i zasługi. Należy jednak przy podobnych okazjach zdobyć się na powściągliwość, aby odmierzyć istotne, rzeczywiste zdarzenia i ich proporcje. Tym bardziej, że Teatr im. Stefana Jaracza nie potrzebuje, mając dobrze w pamięci swoją świetną przeszłość, takich szumnych zwrotów.

Skrzyż w niepozornym budynku, wśród szarych i monotonicznych kamieni ulicy, jest dziś najstarszym przybytkiem teatralnej muzy w naszym mieście; swoim wyglądem potwierdza znaną prawdę, że w mieście byznesu brakowało funduszy na okazalszą siedzibę Melpomeny. Nie przeszkadzało to, że właśnie tutaj przez pół wieku rodziła się wspólna, porównująca serca i umysły sztuka. Zaczęło się to jeszcze za czasów carskich, w 1909 roku, kiedy Aleksander Zelwerowicz objął dyrekcję. Wysoki poziom ideowy i artystyczny, który nadawał scenie łódzkiej jedno z pierwszych miejsc w kraju, starali się podtrzymać następni kierownicy teatru: Antoni Bednarczyk i Bolesław Bolesławski. Również w okresie I wojny światowej teatr zachował dobre imię, współpracowali z nim Bolesław Leśmian i młody wówczas poeta Józef Wittlin.

W dwudziestolecie międzywojennym zaczęła się nowa epoka, uświetniona dykcjami czołowych ludzi polskiego teatru, reżyserów i aktorów. Ponownie zawitał do Łodzi Aleksander Zelwerowicz, szereg sezonów przebywał tu Kazimierz Wroczyński, próbował szczęścia twórca warszawskiego Teatru Polskiego Arnold Szyfman, pierwszą swoją samodzielną placówkę dyrektorską prowadził Karol Adwentowicz, wreszcie Leon Schiller; stworzył na tej właśnie scenie swoje monumentalne widowiska, które przeszły już do historii naszego teatru. Ktoż nie pamięta takich spektakli jak szekspirowska „Burza”, „Celestyna” Rojasa z niezapomnianą Jadwigą Chojnacką, „Kram z piosenkami” czy wznowiona obecnie opera narodowa „Kraśniacy i Górale”. Z aktorów gościli tutaj wszyscy najlepsi, największe tony naszej sceny: Jerzy Leszczyński, Józef Węgrzyn, Ludwik Solski, Aleksander Węgrów, Maria Przybyłko-Połocka, Kazimierz Junosza Stępcowski.

Ale mówiąc o Teatrze-Jubilacie nie sposób nie podkreślić wybitnej roli, jaką odegrał w narodzinach tej tradycji, Aleksander Zelwerowicz. Jako młody dyrektor, u początków swej kariery, która zaczęła się również w Łodzi, podbił od razu publiczność łódzką. Posypały się inscenizacje wielkiego repertuaru: miekiewiczowskie „Dziady”, „Irydion” Z. Krasińskiego, „Wesele” S. Wyspiańskiego. Zelwerowicz, z instynktu społecznik, okazał się nie tylko wytrawnym reżyserem, lecz także doskonałym popularyzatorem i pedagogiem. Otaczał opieką młode talenty aktorskie, zainicjował na szeroką skalę akcję przedstawień po cenach ulgowych, przed kuryną występował jako prelegent, słowem, zrobił z teatru, prawdziwy przybytek sztuki i żywy ośrodek kultury. Mając szczególny petyzm do wielkiej klasyki, nie zaniedbał „nowej fali” w literaturze dramatycznej, sięgając po współczesny, społecznie i politycznie doniosły repertuar obcy. Wprowadził na łódzką scenę, znacznie wcześniej niż w Warszawie, Czechowa, Gorkiego, Ibsena, Strindberga, a także autorów polskich, wrażliwych na zagadnienia aktualne. On to właśnie sprowadza do Łodzi znakomitości polskiej sceny — Jaracza, Solskiego, Siemaszkową, Kamińskiego, Frenkla, Wysocką, którzy zdobyli serca teatralnej Łodzi w repertuarze modernistycznym.

Właśnie Stefan Jaracz, którego nazwisko nosi teatr, zadebiutował na tej scenie u boku Zelwerowicza w roli szekspirowskiego Ryszarda III. Rola ta stała się tryumfem młodziutkiego adepta. Zelwerowicz, odkrywca i opiekun talentów, otoczył szczególną troską Jaracza, powierzając mu wiele poważnych ról, m. inn. w „Kłatwie” S. Wyspiańskiego, która stała się wydarzeniem ogólnopolskim i przesądziła o sukcesie tego dzieła. Do nazwisk Zelwerowicza i Jaracza, którzy utrwalili tradycję i rangę tej sceny, dopisać trzeba i Bolesława Gorczyńskiego, ambitnego dyrektora, reżysera i pisarza, co nie wahał się mimo nie sprzyjających warunków szerzyć zamilowania do repertuaru klasycznego oraz Karola Adwentowicza i Leona Schillera. Litoż w sezonie 1929/30 odważyli się zorganizować bojowy teatr społeczny, prześladowany za postępowe tendencje. To jest ów szlak tryumfalny, we wspomnieniu wybijają się chlubnie i świadczą o ambicjach tych wszystkich twórców, co zapisywali sezon po sezonie piękne karty historii naszego Jubilata.

Okres powojenny dostarczył nowych laurów. Adolf Rudnicki pisał, że wówczas nad Łodzią świeciły gwiazdy. Świeciły na tej scenie. Leon Schiller, osiadł w Łodzi na trzy lata, by przeżyć tu najlepsze chwile; rozślawił ten teatr, podbijając jego lot w najwyższe rejony sztuki. I znowu przeszli przez scenę najlepsi aktorzy, poezja królowała tu niepodzielnie.

Czy trzeba wymieniać wszystkie wydarzenia, których byliśmy świadkami? Przecież Teatr im. Jaracza zdobył sobie uznanie i sympatię miłośników sztuki, i obecnymi realizacjami potwierdza, że chce być godny swojej przeszłości. Życzymy mu i sobie dalszych sukcesów. Tylko w ten sposób można pozostać wiernymi tradycji.

ZBIGNIEW CHYLINSKI

Majstersztykiem w tym programie jest tytuł. Kalambur „oczko opaczności” pasuje do boskiej-nieboskiej „ramy” (zabawa jest w związku z tym, że bogowie z Olimpu schodzą „w Polskę”), koresponduje z tekstami i podtekstami, służy jako motyw rozwiązań scenograficznych, przypomina aktorom (nie wszystkim, nie wszystkim!), jaki gatunek grać mają. Słowem tytuł wszechobejmujący.

Aż nadto. Satyryczne oko podpatrując opaczności życia, tuczy również opaczności własne. Przedni kalambur sąsiaduje z lichym (np. mówi się: „Łódź — polski Hollywood” i usiłuje dowieść kować: „wszędzie ta woda”), doskonały literacki skądś (przynajmniej rangi „Hydraulika” Tuwima), parodiujący nowo-mowę chuliganów współistnie z szmoncesem (np. w monologu kuchty, która powiada: „owszem trafił mi się nawet jeden kolejarz, ale on tylko na pospiesznych jeździł, a ja wolę takich powolniejszych...”; albo: blackout z lekarzem donjuanem), świeżości, odkrywczości i bystrości postrzegania obyczajowych śmieszności (świetni „Podrywacz” Gozdawy i Stepania) towarzyszą elementy zwierzęce i wtórne (np. bodaj tych samych autorów piosenka o filmie polskim). Jakościowe dysproporcje

tekstowe i wykonawcze zdają się w części pierwszej programu, maleją niemal do zera w części drugiej. Ta ostatnia byłaby bez zarzutu, gdyby nie „Wzwanie” cytowanej spółki. Nawet nie o to chodzi, że po „Oskarżonych” z Janowską i Slemionem taki błąd i nieautentyczny monolog „prześły” gospodarczego” nie ma prawa być wygłoszony na szanującej się scenie. Pointą jest, iż omyłkowo

Tego rodzaju zgrzyt razi tym bardziej, że reżyser Zenon Wiktorczyk narzucił dyscyplinę dobrego smaku tam, gdzie mógł, i błysnął niejednym pomysłem inscenizacyjnym. Ile to razy eksploatowano na scenach satyrycznych chwyt z „ludowym ześpółem”? Miałoby go przeoczyć „Oczko opaczności”? Ale jakże świeżo wypadły „Przańniczki” przez to, że reżyser kazał aktorom łączyć śpiew z monomimiką.

„OCZKO opaczności”

wzwany na śledztwo Lewandowski Władysław, postać skądinąd o nieczystym sumieniu, „kituje” na zawal serca. Trudno i darmo, ale jest to humor rzędu witzu: „Nad brzegiem rzeki płacze chłopczyk. — Czemu płaczesz chłopczyku? — A bo mi chleb wpadł do wody. — Z masłem? Nie, z braciżkiem!” Płaska, ahumanistyczna pointa obciąża w tym samym stopniu autorów, co reżysera, który tym działaniem aktorskim trafil po prostu w sedno tekstu.

Gdyby nie ruchy ust byłby to „numer” żywcem wyjęty z jakiejś domorostej sceny kukielkowej (zauważcie sztywną, mechaniczną gestykulację), przy czym lalki byłyby wypisz-wymaluj ze straganu festynowego „artysty”. Okropności szmery z dziedziny dobrze znajomej prywatnej inicjatywy estradowo-imprezowej wystylizował reżyser w sekwencji chóru Calypso-Ensemble, a pustostawie i nonsens poezji i dramatu wolnych skojarzeń sparodiował w scenach piwnicznych. Grając swo-

obodnie na tak szerokiej skali zadań aktorskich i wykrzesując z wykonawców to, na czym mu zależało, Wiktorczyk zdał w Łodzi dobrze swój egzamin reżyserski. Tym większy można mieć do niego żal, że współakceptował poniekąd niewypały tekstowe, wspomniane już i jeszcze nie wspomniane. Ołów reżyserski potrzebny był tym bardziej, że program jest przydługi. 45 koni (mechanicznych) temu, kto (poza autorami) odczułby brak „numerów” telewizyjnych lub takiego trącającego zgola maglem „Dialogu towarzyskiego”. Znakomitą Bożenę Grabowską (uwaga, pieśniarka która interpretuje) można by wmontować i na innej zasadzie (jako, że montowało się niegdyś i przed telewizją). Barwna, dynamiczna, satyryczna nie tylko z nazwy składanka, pierwsza od lat po długim okresie niemożności, okraszona muzyką Piotra Hertla i porwana w dobrym stylu (zwłaszcza młodzie: W. Chwiałkowska, J. Pięnkowska, M. Gorczyński i „dorosli”: Z. Jabłoński, S. M. Kamiński) mogła być majstersztykiem nie tylko w tytule. Mogła być gdyby miejscami nie zawiodło własne, autorsko-reżyserskie oko opaczności. Teatr 7.15. „Oczko opaczności” — widowisko wg. pomysłu Igora Sikiryczkiego. Reż. Zenon Wiktorczyk. Układ taneczny: Józef Matuszewski. Scenografia: Marian Stańczak. Muzyka: Piotr Hertel.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

RZECZ POETYCKA

czyli tęsknota za słowem umotywowanym

Ostatnio w sferach literackich można zaobserwować szereg ciekawych metamorfóz. Krytyk potrafi obudzić się pewnego ranka w stanie poetyckiego natchnienia, natomiast poeta — kropnąć artykuł na cztery szpalty o kryzysie współczesnej poezji.

Zjawiska te przestają dziwić, jeśli uświadomimy sobie, że zarówno poeci jak krytycy zdają się tropić z zapalem, gdzie współczesnej poezji pies leży pogrzebany. Gdy poecie nie starcza już przy tych poszukiwaniach poetyckiego wachu, sięga po rozum do głowy i teoretyzuje, gdy zaś krytyka zawlezie intelekt, hipnotyzuje się metaforą i zda się czekać na objawienie. Jest to wszystko symptomem czasu. Dlatego za takiż symptom można uznać nową „Rzecz poetycką” pod gorącym tytułem „Tygla”, dzięki jej mieszanej gatunkowo zawartości — mieści się w niej bowiem i część poetycka (w tym kilka przekładów), i teoretyczna, i wspomnieniowa, i „prezentacyjna” i wreszcie recenzja (wśród recenzentów nie ma jednego, który nie parzył się poezją). Dobór artykułów wskazuje na pełen świadomy zamysł, natomiast gdyby zamiast umieszczonych w „Tyglu” wierszy znalazły się na tym miejscu inne, chyba nie czyniłoby to wielkiej różnicy.

Wiersze umieszczone w „Tyglu” (mimo, że są wśród nich utwory poetów bynajmniej nie zaliczających się do tego samego pokolenia) mają niewątpliwie zasadniczą wspólną cechę — rzuci się w oczy przede wszystkim warsztat ich autorów z jego blaskami i cieniami. Z rozważań tych wyłączałem wiersze, Bleszyńskiego, które stanowią szacowny antyczny sprzęt na terenie mającym aspiracje do nowoczesności.

Bardzo żeńskie, nadwrażliwe wiersze Dąbrowskiej, czy sielankowo-mechaniczne Łobody, czy wizjonerskie Pięta-ka zwracają przede wszystkim uwagę w kierunku

ziemiosła, zmuszają do szukania w nich stylu. Pewnie, że jest duża różnica jakościowa między klasą rzemiosła Pięta-ka a Łobody, ale zarówno jeden jak i drugi uprawia gorączkową pogonią za słowem, potykając się w tej pogoni co krok o obce style, czy to poetów anglosaskich, czy skamandryckich i okolic (Liebert), czy też awangardowych.

Poezja zaprezentowana w „Tyglu” (nie wnioskuję tu o całość dorobku poszczególnych autorów) to poezja przesyta, spleenu wywołanego pracą nad słowem. Brak jej czegoś, co krytycy różnie próbują zdefiniować, a co w tymże „Tyglu” próbuje określić M. Głowiński. Jego rozprawka jest osią tomiku, bo chociaż dotyczy ballad Leśmiana, dotyka problemu najistotniejszego dla poezji w ogóle, a szczególnie przystającego do obecnej sytuacji w poezji.

„Nowość sama w sobie — pisze Głowiński — jest w pewnym sensie zjawiskiem „technicznym”, nie posiadającym walorów estetycznych — nabywa je wtedy dopiero, gdy zyskuje motywację”.

Na przykładzie ballad Leśmiana ukazuje Głowiński, jak poeta realizuje w stylu swoją koncepcję świata. Poszczególne motywy jednak są wg Głowińskiego niepowtarzalne. Rozwój poezji polega więc na szukaniu motywacji ciągle nowych.

Rozprawka Głowińskiego otwiera chyba drogi prowadzące w różnych kierunkach metodologicznych, jest zagadnieniem dyskusyjnym. Jeden kleunek prowadziłby chyba do analogii między poszczególnymi motywacjami (wbrew Głowińskiemu). Budzi się również wątpliwość co do sprawdzalności jego teorii. Bo jak odróżnić motywację prawdziwą od fałszywej? Czyje się jednak, że artykuł Głowińskiego utrafił w sedno słabości polskiej poezji, że stanowi próbkę odpowiedzi na znane pytanie, dlaczego mamy poezję, a nie mamy poetów, że mimo po-

zornej ahistoryczności zwraca uwagę na moment niewarsztatowy i każe szukać źródła zagubienia indywidualnych stylów w kompleksie zjawisk emocjonalnych i intelektualnych o szerokim podłożu. Barbara Biernacka próbuje zdefiniować sytuację młodej poezji, zaczynając od przeciwnego biegu. Zwraca więc uwagę na „anonimowość” i brak różnicowania wśród młodego pokolenia poetów. Nie przesądza zresztą losów poszczególnych autorów i ich stylów — stara się uchwycić w ich twórczości momenty oryginalne. Dochodzi jednak do takich samych wniosków, jak Głowiński. Piszże zatem, że „...metaforom” braknie naczelną zasadę organizującą. Wina jednak leży nie w wadliwości formuły artystycznej — tylko w stosowaniu jej na próżno, dla pokrycia pustki”. Tą zasadą organizującą jest wg Biernackiej, „świadomość własnego celu” będąca odpowiednikiem „motywacji” Głowińskiego. Jest ona wyróżnikiem spośród, jak to określa, „cepelowskich” twórców”.

Zainteresowanie 20-leciem poetyckim w skali ogólnopolskiej jest zjawiskiem nieprzypadkowym. Nie miejsce tu na doszukiwanie się zwycięskich jego przyczyn. Zwrotmy więc uwagę tylko na jedno. Dla młodego pokolenia te czasy stanowią z kilku powodów barwną legendę o złotym wieku poezji. We wspomnieniach stają przed nami wybitne, odrębne indywidualności poetyckie, o niepowtarzalnych cechach stylu, w atmosferze zażartych sporów o poezję i manifestów poetyckich. Flukowski wspomina początki „Kwadręgi”, Bleszyński Miriamy i „Chimerę”, Czernik „bogów poezji” i ich aureę, Gomolecki Czechowicza, Huszcza „Zagary” i „Po prostu”. Koprowski początki swojej kariery poetyckiej. Mrozowski „Wspólny pokój” pod mecenatem Czechowicza. Piechal „Meteora”. Słobodnik Ciesielczuka, Zagórski Bujnickiego.

Szczególnie ciekawe są wspomnienia Flukowskiego, który próbuje zinterpretować spór między pokoleniem „Skamandra” a pokoleniem „Kwadręgi”.

Tę legendę o rozkwicie poezji czyta się z ciekawością, zazdrością i smutkiem.

Ostatnią część „Tygla” stanowi dział recenzji.

Toczą się tu rozważania poetów na temat poezji. Recenzje mają postać impresji poetyckich, zawierających stwierdzenia raczej trudno sprawdzalne, np. „Zamykał ostatni zbiorek poety z mieszanym uczuciem” (K. A. Jaworski o W. Mrozowskim). Jakże są mieszane uczucia K. A. Jaworskiego? Trudno stwierdzić, jeśli on sam tego uczynić nie może. Lub: „Może to zabrzmi starszowiecko, gdy powiem, że Pięta-ka jest poetą autentycznym, poetą z natchnieniem” (Koprowski o Pięta-ku). Nie tyle nawet starszowiecko, co trochę naiwne. Skąd Koprowski wie, że Pięta-ka miewa natchnienie? Najbardziej interesujące są refleksje J. Splewaka (ze względu na to, że z racji dysertansu, jaki dzieli go od 5 młodych debutantów, potrafił określić ich dorobek indywidualny) oraz B. Sztajnerta, bo ładnie napisane i świadczą o umiejętności wzuwacza się w cudzą konwencję poetycką.

Przyznać jednak trzeba, że poeci zachowują względem siebie daleko posuniętą kulturę. Z wyjątkiem H. Pawlaka, który nie przyznał Kasprowiczowi efektów na miarę trudów i taktownych uwag J. Splewaka w recenzjach brak ryzykownej skłonności do ujawnienia mankamentów twórczości kolegów po piórze.

Budzi to westchnienie — gdyż część wspomnień powinna raczej zwać się „Tygłem”, bo tam jest gorąco od sporów o poezję. Może to wyższy stopień rozwoju kultury zlikwidował te swary — ale czy to poezji na dobre wychodzi?

„Rzecz Poetycka”, „Tygla”, W. Ł. 1961.

I was angry with my children because they were displeased with their food. I said at dinner:
— You are very bad. You turn your noses at everything. When I was a boy, I was often glad to get bread enough to eat.
Andy said:
— Poor Papa, I am glad you are having such a good time with us.



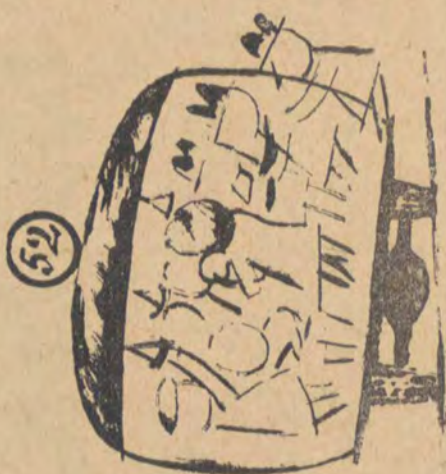
— 41 —
DAS IST DOCH SCHRECKLICH

Es war in einem Restaurant in Budapest vor dem Krieg. Ein galanter Mann sass am Tisch und rief:
— Ober! Was haben Sie für Suppen?
— Rindfleischsuppe, Tomatensuppe, Ochsenfleischsuppe und Hühnerbrühe, — antwortete der Kellner höflich.



— Und nichts mehr? — sagte der Gast. — Das ist doch schrecklich! Geben Sie mir eine Ochsenfleischsuppe.
— Bitte sehr, mein Herr.
— Was für Braten haben Sie?
— Schweinebraten, Gulasch, Kalbsbraten und Ochsenzunge, — antwortete der Kellner höflich.
— Und nichts mehr? — sagte der Gast. — Das ist doch schrecklich! Bringen Sie mir eine Ochsenzunge.
— Bitte sehr, mein Herr.
— Was für Gemüse haben Sie?
— Wir haben Blumenkohl, Salat, gelbe Rüben und Sellerie, — antwortete der Kellner höflich.
— Und nichts mehr? — sagte der Gast. — Das ist doch schrecklich! Also einmal gelbe Rüben.

A bus was crowded this morning. A passenger sitting next to the window suddenly closed his eyes and turned his head aside. The man next to him asked:
— Are you ill? Can I do anything for you?
The other answered:
— I'm quite well. I just hate to see old ladies standing.



Aber in der Nacht wurden einem Junker zwei Pferde gestohlen. Der Junker sagte:

— Kohlhaas hat mir die Pferde gestohlen. Er ist der Dieb meiner Pferde.

Michael Kohlhaas musste seine zwei Pferde dem Junker geben. Traurig ging er jetzt zu Fuss zur Leipziger Messe.

Nach zehn Tagen kam Kohlhaas wieder in dieses Dorf zurück. Der Junker kam zum Kohlhaas und sagte:

— Kohlhaas, ich habe meine Pferde gefunden. Hier sind deine Pferde.

Aber die Pferde waren jetzt sehr mager. Sie waren schlecht gefüttert. Kohlhaas sollte noch das Futtergeld bezahlen. Er wollte aber nicht zahlen und ging ohne Pferde nach Hause.

Kohlhaas führte jetzt einen Prozess gegen den reichen Junker. Der Prozess kostete viel Geld, aber Kohlhaas hat ihn verloren. Kohlhaas war kein Junker und war nicht so reich, wie der Junker.

Nun suchte er selbst sein Recht. Aus dem friedlichen Händler wurde jetzt ein Räuber, aber am Ende wurde er gefangen und musste sterben.

JADEUSZ PAPIER

MAGDALENA

STRESZCZENIE

Siedemnastoletnia dziewczyna Magda dostaje się w krąg wpływów grupki „zło-tych” młodzieży. Za namo-wą Boruty Magda opusz-za rodziców. Następuje seria „występów” Magdy i jej kolegów. Po wielu próbach Magda składa przysięgę na wierność gru-pie. Matka na próżno usi-łuje spotkać się ze zbieg-łą córką. Tymczasem w wypadku samochodowym ginie opiekun Magdy i jej przyjaciel Marioli „Ta-to”. Tato przed śmiercią przekazał Marioli za po-średnictwem znajomego milicjanta pieniądze i swo-je notatki. Po pogrzebie Taty Długi wysłał dziew-icę do Pelagii po odbiór pieniędzy. Dziewczeta za-każając pomyślnie spra-wę. Wydaje się, że nie nie-ależnie na przeszłości do-tychczasowej działalności grupy. Ale oto Magda i Mariola otrzymują alar-mujący telefon od Nar-czy.

Narczy przyszedł i pierwsze jego słowa brzmiały: „Wsypa. Boruta i Długi aresztowani”. Rany Boskie, jak się ta wiado-mość przejęła. Narczy był błąd i niczym nie przy-pominał tego wesołego chło-пка, który wciąż mi groził, że się ze mną ożeni. „Fajny z ciebie chłopak — rzekła Mariola — Niewiele brakowało, a byłbyś nam porządnego stracha napędził”. Narczy drżał, mnie również niewiele brako-owało. Tylko Mariola była spo-kojna. „Jesteś zdenerwowany — powiedziała do Narczy — uspokój się i mów, co wiesz”. „Daj mi tchu złapać — od-parł Narczy. — Musimy ucie-kać. Trzeba zobaczyć, czy Dłu-gi nie ma jeszcze towaru. Mu-simy to usunąć”. „Byłeś ra-zem z nimi? Co się stało?” — zapytała Mariola. „Byliśmy u Szczura” — powiedział Nar-czyk. „U Szczura? — zawoła-łam. — Po co wam Szczur potrzebny?” Ale Mariola zro-zumiała całą intrygę. „Szczur szantażował Długiego?” — za-pytała. Narczy odpowiedział: „Nie dosłownie”. „Szczur po-wiedział Długiemu o śmierci Taty? I że byłem w MO? Dał mu do zrozumienia, że wie coś więcej?” „Tak” — odparł Nar-czyk.

„Posłżcie żeby poracho-wać się ze Szczurem?” — py-tała dalej Mariola. „Posłżmy do niego. Szczur chciał się do nas przyłączyć. Powiada do Długiego: „Jesteście szcze-tniaki. Potrzeba wam, dobrej głowy. Sami nie nie zrobicie”. I wypomnił Długiemu parę grzeszków. Powiedział, że Dłu-gi brał procent od Pumpy. Ze następcą jej klientów. Miał chyba na myśli Tatę. Boruta

się wściekł. Brał się już do bicia. Ale Szczur powiedział: „Zaczniecie ze mną — to i ja będę wiedział, gdzie i co powiedzieć. Proponuję czysty interes. Nie chcecie, to nie”. Gość chciał się tanim kosztem wkręcić do nas, to było jasne. Ależ to kreatura. Wnę Długi i Boruta tylko popatrze-li na siebie. Długi powiedział: „Ty Szczur uważaj na zakre-łach. Zebyś przypadkiem kar-ku nie skreślił. Adieu!” I wy-szliśmy. Boruta z Długim ze-szli na dół, a ja wróciłem jeszcze na górę. Chciałem dać po mordzie Szczurowi. Nie mogłem wyrzucić. Ale zanim dobiegłem na trzecie piętro usłyszałem krzyki i szamota-nie. Uciekłem wyżej. W bramie czekali na nas milicjanci. Bo-ruta i Długi wpadli w ich ręce. Oni nas śledzili”. „Więc co robisz?” — zawołałam. — Ależ Mariola, Tak nie można żyć! „Sama wiem o tym dobrze”. „Więc co robisz?” Mariola nie zastanawiała się długo. Zapy-tała Narchy: „Wiesz gdzie Długi schował towar?” „Wiem”. „Ty, Magda — powiedziała Ma-riola — pójdziesz do Pelagii. Uprowadź Pelagię. Niech Pe-

lagia da znać Czeskowi. W ogóle niech się pilnuje. My z Narczyem uprzątniemy towar. Potem jedź na Chojny. Spot-amy się u twojej ciotki”. „Do brze — odparłam. — A dola-ry?” „Jakie znowu dolary? — zapytała Mariola. „Długi ma w szafce dolary. Pod bie-łizną. Widziałam”. „Ładna his-toria! — zawołała Mariola. — Dopiero teraz o tym mówisz! Potrzeba nam forsy jak ni-gdy”. Ale na próżno szuka-liśmy. Przewróciliśmy całą sza-łę. Narczy wszedł po wszyst-kich kątach. Nic nie znaleźli-śmy. Albo Długi uprzątnął, al-bo Narczy świsnął.

Tak więc, jak mówił Tato, dokonało się. Ale to jeszcze nie wszystko. Niech pan pisze. Trzeba było nie usłuchać Ma-rioli i nie jechać do Pelagii? Nie, tego bym nie zrobiła. Za nic w świecie. Musiałam os-trzec Pelagię i Czeska. Nie moja wina, że za późno. Gdy-by Czesiek nie marudził tej nocy, to byśmy wszystko zdą-żyli załatwić. Ale Czesiek bał się milicji i siedział parę go-dzin na schodach. Więc mi-

Dalszy ciąg na str. 10



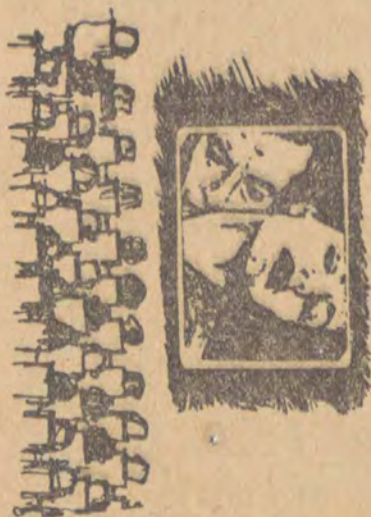
THE END WAS QUITE DIFFERENT FROM
THE BEGINNING

I went to the cinema last Tuesday and I saw an American film. In the film, a man was in prison. He was an American soldier, and he loved an Australian girl. The girl had yellow hair and blue eyes, and she visited the man in prison every week. The man was unhappy.

I'm going to marry you one day, — he said to her. I liked the film. But the day was hot, and I was sleepy. After a few minutes I was asleep. I slept for an hour.

Suddenly I woke. The same man was on the screen. But now he was a sailor. He was the captain of a ship. And he had another girl. This girl was Indian. She had brown eyes and black hair. I was puzzled. I waited to the end of the film, but I didn't understand it.

I met a friend in the street outside the cinema, after the end of the film. He said to me:



— 42 —

— Was für Nachspeise haben Sie? — fragte wieder der Gast.

— Apfelmur, — antwortete der Kellner.

— Und nichts mehr? Das ist doch schrecklich! Also bringen Sie die Apfelmur.

Der Kellner ging, aber am Nebentisch saß auch ein Herr und er lachte. Der galante Herr stand auf und sagte:

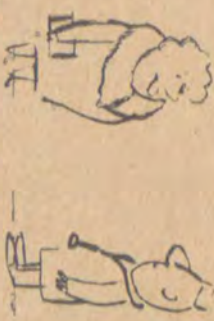
— Warum lachen Sie? Wissen Sie, wer ich bin? Ich bin Graf Koloman Tschupa von Debrein und Culyasch und Vorausmörth.

— Und nichts mehr? Das ist doch schrecklich! — antwortete der Herr am Nebentisch.

BEIM ARZT

Eines schönen Tages kam zum Arzt eine ältere Dame. Der Arzt war auch nicht mehr jung. Er sagte:

— Nun, liebe Frau, was fehlt Ihnen?



— Mein Herr, — antwortete die Dame, — Ihre liebe Frau bin ich nicht, ich bin Baronin.

— Dagegen habe ich kein Medikament, — sagte ruhig der Arzt.

— 43 —



— Is it a good film?

I said:

— I don't know.

My friend said:

— You've been in the cinema for two hours, and you don't know. I don't understand you.

I said:

— I didn't understand the story. I was asleep for an hour during the film, and the end was quite different from the beginning.

MICHAEL KOHLHAAS

— 43 —

Eine Stunde von Potsdam liegt ein kleiner Ort. Er heißt Kohlenhasenbrück. Er wird im Sommer von Berlinern und Potsdamern gern besucht. Da war früher auch eine Brücke, sie hieß — "die Kohlenhasenbrücke". Warum hieß sie so?

Vor etwa 400 Jahren lebte in Köln an der Spree ein Händler. Er hieß Michael Kohlhaas. Er hatte zwei schöne Pferde. Mit diesen Pferden fuhr er einst zur Leipziger Messe. Dort wollte er die Pferde verkaufen.

In einem Dorf bei Wittenberg machte er Pause. Er nahm ein Zimmer im dortigen Gasthaus und schiel sehr gut.



Dalszy ciąg
ze str. 9

Okropnie się czułam. Chciało mi się płakać. Nie wiedziałam, co robić? Zdawało mi się, że wszyscy wiedzą, kim jestem. Gdybym choć miała pieniądze przy sobie. Ale Mariola zapomniała mi dać. W portmonetce miałam tylko parę złotych. Mój Boże! Gdyby Tato nie umarł! Tato na pewno by nam pomógł. On dałby sobie radę i ze Szczurem. Był w dobrych stosunkach z rewirowym. Schowałby nas gdzie, ukrył. Jeden Tato by nam pomógł. Pieniądze mu ukradł? O to panu chodzi? Tato i tę kradzież by wybaczył. Ale Tato już nie ma. Pochowany został na Dolach i leży w wodzie. Boże kochany! W tej rozpaczy zapomniałam nawet o ciocie. Potem przyszłam jakoś do siebie. Trzeba było coś zrobić. Nie mogłam się blakać bez celu po ulicach. Umówiłam się zresztą z Mariolą. Siadłam więc do „11”, a potem do „7” i pojechałam na Chojny. Ciotkę zastałam w domu. Miała popołudniową zmianę. Na mój widok zawołała: „Boże kochany, Magda, a ja za tobą oczy wyplakałam!” Ciotka wyglądała bardzo przyjemnie. Średniego wzrostu, twarz okrągła, z odblaskiem dawnych rumieńców, które sprawiają, że twarz wydaje się jakby przypalona, włosy nie to szare, nie siwe. Była tak wzruszona moim przybyciem, że pobiegła do kredensu, żeby tyknąć kieliszek wiski.

ki. Ciotka nie upijała się nigdy, ale lubiła sobie od czasu do czasu tyknąć jednego. Zwiła szezca w takich chwilach jak obecna. Nie dziwiłam się jej. Spojrzała na mnie pytająco: „A może i ty? Ale skąd, co ja mówię, głupia, takie dziecko!” „Niech ciotka da — powiedziała — przyda mi się, niedobrze się czuję.” „Chora jesteś, zczekajże, położysz się zaraz do łóżka.” Bywają takie dni, że wszystko jakoś człowiekowi się układa. Niestety, bywają też inne, kiedy wszystko idzie jak z kamienia. Nic się nie udaje, przedmioty lecą z rąk. Ciotka miała taki dzień dzisiaj. Dopiero po paru minutach przyszła do siebie. Zaczęła mnie badać. „Jak ty wyglądasz? Skąd wracasz? Z kim przebywałeś? Co się z Tobą dzieje? Dlaczego nie dałaś znaku życia? Matka jest zrozpaczona. Zaczekajże, pojedę do matki. Dam jej znać.” „Niechże ciotka da spokój. Ucieknę, jeśli ciotka mamę zawiadomi.” — przerwałam ten potok pytań. „Ależ dziecko! — odparła natychmiast. — Co ty sobie myślisz. Jak możesz tak mówić.” „Naprawdę ucieknę — powtórzyłam stanowczo — Nikt nie może wiedzieć, że jestem u cioci.” „Ależ dlaczego? Z jakiego powodu?” „Milcja mnie szuka” — powiedziałam. Zeby pan zobaczył twarz ciotki. Zbladła, oczy zrobiły jej się okrągłe. „To niemożliwe!” — krzyknęła. Poszła do kredensu i nalala dwie wiśniówki. „Masz, wypij, ty jesteś chora”. Wypiłam, ale niestety, nie mogłam sprostać tej wiadomości. „Co się stało? Dlaczego cię milcja poszukuje?” — zapytała. „Wpadłam w takie towarzystwo, no, i przyszłam do cioci.” Ciotka usiadła i zaczęła płakać.

Musiałam jej wszystko opowiedzieć. Ciotka co chwile le-

ciała do kredensu. Wypila więcej, niż zwykle, ale się nie upiła. Przerywała mi opowiadanie okrzykami: „Ach, ach!” „Ja nie śnię, Magda? Coś ty najlepszego narobiła?” „Jeżeli ciotka się boi, to mogę stąd iść” — powiedziałam. „Ależ dziecko! Ja tylko tak mówię. Dokąd pójdziesz? Trzeba coś poradzić. Boże święty.” Przedmioty leciały jej z rąk. W końcu popłakałyśmy się obydwie. Ale ten płacz mi ulżył i ciotce chyba też, bo już nie tak nerwowo gadała. „Zjedz, prześpij się, potem coś uradzimy” — rzekła.

Położyłam się do łóżka i natychmiast usnęłam. Po raz pierwszy od dłuższego czasu miałam sen spokojny, bez marzeń. Wypoczywałam za wszystkie ostatnie noce. Obudziłam się późnym wieczorem. Nie wiem, która mogła być godzina. Przespałam cały dzień. Leżałam pod ciepłą kołdrą. Było mi dobrze. Jak najdłużej tak leżeć, żeby nikt nie mącił spokoju. Leżałam jakby w odrętwieniu. Nie ruszałam ani nogą ani ręką. Nie myślałam o niczym. Po prostu leżałam. W uszach mi szumiało, jakby była nad morzem. Chciałabym tak leżeć i leżeć, żeby nikt nie przychodził. I wtedy zadzwonił telefon. Odruchowo chwyciłam za słuchawkę. Telefon stał na stoliku przy łóżku. „Halo!” — powiedziałam. — „A, to ty, ślicznotko! Dzień dobry. Nie wyjechałaś do Ameryki? Nie wyszłaś za milionera? Nie spodziewałaś się mojego telefonu”. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie. Poznałam głos Szczura. „Czego pan chce?” — zapytałam. Nie powinienam w ogóle z nim rozmawiać. Nie odzywać się. Ale Szczur czekał na to pytanie

„Czego chce?” — odparł. — „Drobnostka... Gdzie Mariola?” Odetchnęłam. Chodziło mu tylko o Mariolę. „Nie wiem” — odparłam. Uprzytomniłam sobie, że Mariola powinna tu przyjechać. Ciotka zamknęła mieszkanie, ale dom był parterowy i Mariola obudziłaby mnie z łatwością. „Nie wiem — powtórzyłam — miała tu przyjechać. W jaki sposób pan mnie odszukał?” Szczur zachichotał w słuchawkę. „Mamusia pania szuka. Mamusia płacze. Mamusia wszystko powie. A ja chciałem

wam pomóc. Radzę ci, ślicznotko, bierz nogi za pas. Podpisz kontrakt z Mazowszem i jedź. Albo z Harnamem. Jeżeli spotkasz Mariolę, klanij się ode mnie. Powiedz, że może na mnie liczyć. Nie tracę jeszcze nadziei. A jednak szkoda, że jesteście takie głupie. Pa, kochanie!”

Ciotka przyszła z pracy i powtórzyła mi rozmowę ze Szczurem. Musiałam wyjaśnić, kto to taki, ten Szczur. Tym razem ciotka okazała zdecyd-

dowanie. Lyknęła wprawdzie kieliszek wiśniówki, ale powiedziała: „Co robić? Prześpij się tę noc i rano wyprawę do Piotrkowa”. „Do ciotki Amelii?” „Tak — odparła — „Przeczekasz najgorsze i potem wrócisz”. „A co z Mariolą?” — zapytałam. — „Nie martw się o Mariolę. Albo żyłymi się spać...”

D. c. n.



ŁÓDŹ za blisko WARSZAWY

Telewizjowicze, których interesuje los Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, przypominają sobie zapewne „Rozmowy o programie” z końca kwietnia. Kiedy więc red. Lech Pijanowski na wstępie tej audycji zaznaczył, że chodzi mu będzie o problemy poruszone w liście od widzów, zdawać by się mogło: nareszcie! Nareszcie otrzymamy konkretne odpowiedzi, nareszcie dowiemy się, dlaczego skazano Telewizję Łódź na niewdzięczny los ubogiego rezydenta.

I wszyscy pamiętają z pewnością znakomite wyjaśnienia głowy Telewizji, dyrektora Jerzego Pańskiego.

Nie, Telewizji Łódź nie przysługuje w żadnym wypadku zwiększona liczba godzin w programie ogólnopolskim, a nawet i ta, aktualna, jest w przeliczeniu procentowym zbyt wysoka.

Nie, Łódź nie będzie w dalszym ciągu transmitować spektakli teatralnych, bron Boże nie dlatego, aby ktoś wątpił w poziom wykonawstwa, bo poziom jest, prze-

cież i Dejmek robił dla Łodzi, ale nie — gdyż właśnie nie przewiduje się większego limitu godzin, co już zostało przecież raz wyjaśnione, a po drugie: Łódź posiada już Telewizyjny Teatr Popularny, co powinno wystarczyć jej teatralnym ambicjom, i po trzecie Łódź nie ma wozu transmisyjnego, więc sprawa upada sama przez się.

Nie, Wozu transmisyjnego Łódź nie dostanie, przynajmniej na razie, a kiedy? — nie wiadomo, to trudno przewidzieć, ale po co kopie kruszyć o wóz transmisyjny, jeżeli taki wóz Warszawa może pożyczyć Łodzi?

Czyli NIE. Po prostu, drodzy łodzianie, bardzo nam przykro, ale NIE. Cenimy was, cenimy wasze aspiracje, ale NIE. Łódź leży zbyt blisko Warszawy, ot co!

Nie to nie. Ale kiedy wasz Kowalski trochę pomedytuje nad polityką centralnych (warszawskich) władz telewizyjnych, to dochodzi do nader nieprzyjemnego wniosku: ta polityka charakteryzuje się monopolistycznymi tendencjami.

Sledząc uważnie rozwój tzw. telewizyjnych ośrodków regionalnych (inaczej proszę państwa: prowincjonalnych, nie ludźmy się, że nas tam w górę oszczędzają przez grzechność), można ze spokojnym sumieniem stwierdzić, że sytuacja Łodzi nie przedstawia się źle. Nawet — zupełnie dobrze. Obiektywnie należy oddać kilka ciepłych słów pochwały pod adresem TV Łódź. Zresztą, ta pozytywna ocena jest szersza, jakoś się tak złożyło, że prasa i krytyka bardzo przychylnie oceniały ostatnie wystąpienia Łodzi na małym ekranie.

Oczywiście, nie należy przyjmować postawy zachwyconego sobą narcyza, ani tym bardziej zadowalać się dotychczasowym stanem posiadania. Posiadania możliwości dalszego rozwoju. Rezydencki los Telewizji Łódź jest w końcu wspólny dla wszystkich stacji telewizyjnych, zwanych „regionalnymi”. Cóż, tylko jedno miasto posiada przywilej stolicy, lecz czy to oznacza, że inne pochodzą od macochy?

A wszystko na to wskazuje. Regionalne ośrodki telewizyjne zostały pozbawione równych szans. Śluszne przekonanie, że stolica powinna błyszczeć, odbywa się — niestety — kosztem regionów. Bo, czy pełnowartościowym argumentem rzeczowym jest stwierdzenie, że Łódź leży za blisko Warszawy i dlatego może obejść się smakiem po wozie transmisyjnym? Lub protekcyjnym zapewnieniem: pożyczymy na specjalne okazje?

Specjalne okazje zdarzają się raz do roku, a telewizja pracuje przez wszystkie trzydzieści sześć dni. Przecież, jedną z podstaw pracy w

nowoczesnej telewizji (walczymy o nowoczesną TV, prawda?) jest żywa, bezpośrednia transmisja. Jak więc pogodzić te „specjalne okazje” z normalnym, rocznym cyklem pracy?

Z powodu monopolu Warszawy cierpi niejednokrotnie cały program ogólnopolski. Na przykład zdarza się i tak, że drugoligowy mecz urasta do rangi pierwszorzędnego wydarzenia sportowego, a tylko dlatego, że transmityje go Warszawa. — Ale Warszawa posiada wóz transmisyjny, Łódź nie. Wszystkie teatry warszawskie zyskały rynek zbytu w telewizji, przynajmniej raz na dwa tygodnie wchodzi na wizję jakiś warszawski spektakl, zaś znakomita inscenizacja dejmkowska „Chwałebne zmartwychwstanie” nie doczekała się tej specjalnej okazji. Jakoś nikt wtedy nie wpadł na pomysł, że Łódź leży tak blisko Warszawy...

Cieszymy się, wszyscy szczerze, że Warszawa, stolica itede... Inaczej nie można. I nie wolno. Ale, na miły Bóg, my także awansujemy, inne miasta też. Chcemy równouprawnienia, jednakowych szans i perspektyw. A te są coraz silniej ograniczane — o czym w następnym felietonie, doniesie Wam z prawdziwym smutkiem

KOWALSKI

P. S. Jeszcze tylko pytanie: czy warto pisać listy do Telewizji Warszawskiej, jeżeli w rezultacie dowiedzie się, że Łódź leży blisko Warszawy?

Polecamy audycje

Wszystkie kraje sieci Interwizji odbierać będą w czwartek (24. V.) o godz. 16.30 program nadawany z Moskwy p.n. „Spacer po Moskwie”. Zobaczmy jedno z najpiękniejszych miast świata, liczące około 8 mln. mieszkańców, ponad 100 muzeów, 34 teatry, 93 wyższe uczelnie. W tym samym dniu o godz. 20.50 Teatr „Kobra” wystąpi z kolejną premierą. Będzie to „Piata ofiara” J. Bolanda w reżyserii J. Słowińskiego.

Piątek (25. V.) to przede wszystkim Teatr Popularny TV, który tym razem pokaże adaptację świetnego opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza — „Kongres we Florencji”. Sądząc po dotychczasowych spektaklach Teatru Popularnego, należy i tym razem oczekiwać widowiska wysokiej klasy. W przedstawieniu, które reżyseruje Tadeusz Woronkiewicz wezmą udział aktorzy teatrów łódzkich jak Michał Pawlicki, Ignacy Machowski, Hanna Bedryńska, Seweryn Butrym i inni. Początek o godz. 20.05. Trzymamy kciuki. Na czoło podziocy sobotnich (26. V.) wybija się film fabularny prod. angielskiej „Lady Hamilton”. Reżyser Aleksander Korda zaprezentuje naszym telewizjom trzeci wielki film biograficzny (po Henryku VIII i „Damie z portretu”). Będzie to historia miłości lady Hamilton i admirała Nelsona. Audycje tego dnia zamknije program rozrywkowy „Pojadę na spacer w Aleje” reżyserowany przez Marynę Broniewską. Mam nadzieję, że pozycja ta nareszcie będzie udana.

W niedzielę (27. V.) o godz. 17.50 Gdańsk pokaże w programie ogólnopolskim teatrzyk „Co to?”. Przed kilkoma laty zrobił on furorę w Szwecji i dobrze się stało, że TV przypominała sobie o nim. Jest to jedyny w Polsce teatr, w którym grają same ręce. Będzie to duża uczta dla miłośników małych form teatralnych. O godz. 18.25 zobaczymy ciekawą teleturcję „Piosenka przedfestiwalowa”, nadawany z Warszawy. W tym samym dniu czeka nas jeszcze transmisja z Pragi, skąd przekazana będzie opera L. Janaceka wg dramatu G. Preissowej „Jenufa” (godz. 20.00).

„Teleman”



Na zdjęciu: Juliette Greco, znakomita piosenkarka, popularna aktorka filmu, radia i telewizji. Obok niej Erol Flynn znany naszym telewizjom z filmów „Kapitan Blood” i „Robin Hood”

Po słynnych skandalach quizowych w USA, telewizja włoska zlikwidowała popularne audycje „Lascia a raddoppia”. Na jej miejsce zostały wprowadzone nowe pt. „Campanillo sera”. Polegają one na rywalizacji cichych miast włoskich. Polskim odpowiednikiem tych audycji jest teleturcja „30 pytań”. Dyrekcja telewizji włoskiej RAI posiada swoje stałe biuro w Nowym Jorku. Zadaniem jego jest przygotowanie niektórych włoskich programów kulturalno-oświatowych i reklamowych dla amerykańskich stacji telewizyjnych.

W Czechosłowacji wielką popularnością cieszy się audycja „7 x 7” nadawana przez stację w Bratysławie. Jest to odpowiednik naszych teleturcji.

W 1959 r. jedna z łazni w Tokio zaistniała w kabinach nad każdą wanną — odbiornik telewizyjny. Pomysł ten spowodował, że obroty łazni podwoiły się, bowiem wielu klientów płaci po raz drugi za kąpiel, chcąc obejrzeć do końca nadawany program telewizyjny.

Telewizja francuska nadaje cykl programowy pt.



Szwecja jest krajem, w którym co siódme małżeństwo rozwodzi się. W związku z tym telewizja szwedzka nadaje co dwa miesiące sprawozdania z procesów rozwodowych z gmachu Sądu Miejskiego w Sztokholmie.

Od dwóch lat pracuje w centralnej Afryce pierwsza nadawcza stacja telewizyjna. Specjalną opieką otacza ją premier zachodniej Nigerii Obafemi Awolowo, który w 1960 r. dokonał jej uroczystego otwarcia.

„Bogaćstwo i ludzie”, który jest poświęcony problemom i najnowszym zdobyczom elektroniki. Program ten jest wynikiem porozumienia i współpracy między TV a prasą popularnonaukową we Francji. Przewodniczący międzyzwiązkowego komitetu łączności prasa — telewizja Manuel Molina oświadczył, że program ten ma na celu popularyzację zagadnień naukowych i zachęcenie telewidzów do czytania prasy popularnonaukowej.

TELEWIZJA



Dzisiaj ty robisz program, a ja będę widzem.

listy od telewidzów

„Jasna jest rzecz, że każdy woląłby obejrzeć to, co wchodzi w zakres spraw go interesujących, co odpowiada jego gustom. Jednocześnie jest rzeczą równie oczywistą, że zainteresowania i gusty odbiorców muszą być — i są — różne. Stwierdzenie to, w pełni zresztą uzasadnione, eliminuje automatycznie z dyskusji — jeżeli mamy na względzie jej owość — wypowiedzi typu, jaki zaprezentował nam p. Piasecki (Odgłosy, nr 18). Jej apodyktyczność — wypływająca, co jest widoczne, z troski o dogodzenie własnemu gustowi, jest chyba zupełnie niepotrzebna. Ostatecznie wolno chyba p. Piaseckiemu (i gronu jego najbliższych przyjaciół) nie zachwycać się nowoczesnym tańcem. Wolno mu grymasić (lub też spać smacznie) podczas nadawania koncertów symfonicznych i wyłączać telewizor w czasie transmitowania wszelkiego rodzaju teleturcji. Wolno mu także upajać się zespółami regionalnymi, których w Polsce nie brak, i z nabożnym skupieniem wysłuchiwać zespołu mandolinistów pod dyr. R. Chłuckiego. Tak, wszystko to p. Piaseckiemu wolno, jak też

wiele innych rzeczy. Nie wolno mu jednak jednej: zapominąć o innych. Przecież telewizyjne programy ogląda nie tylko p. Piasecki oraz jego najbliżsi. Wielu jest takich telewidzów, którzy z prawdziwą satysfakcją oglądają i wysłuchują zarówno koncertów symfonicznych, jak i innych audycji... (—)

Staram się pamiętać o tym, że to, co mi się oświadcza nie podoba, nie musi być złe. Wyobraź sobie, co to by było, gdyby upodobania wszystkich pokrywały się. Tak więc, chodź tutaj — wydaje mi się — o rzecz nieco inną: o właściwą proporcję. Mając na względzie ten właśnie szeroki zakres zainteresowań społeczeństwa łódzkiego (i nie tylko łódzkiego), realizatorzy telewizyjnych programów winni dążyć do zachowania proporcji: nadmierne dawkanie pozytywne poważnych lub lekkich wywołuje wśród telewidzów głosy słusznego sprzeciwu. Nie można jednak żądać, jak to czyni p. Piasecki, aby całkowicie zrezygnowano z jednych na rzecz drugich...”

EDWARD ZYMAN, RADOMSKO

NASZ WYWIAD

Rozmowa z IGNACYM MACHOWSKIM



Ignacy Machowski, aktor Teatru Nowego otrzymał nagrodę ZAKSU za wybitne kreacje w Teatrze Telewizji oraz nagrodę na Festiwalu Kalliskim za rolę w „Historii o chwalebnych zmartwychwstaniu”.

— O ile mi wiadomo służy Pan trzem muzom: V, X i XI — pytam Ignacego Machowskiego.

— Przepraszam... czterem, bo i radio dochodzi — dodaje aktor. — A która z nich najbardziej się Panu nie podoba?

— Muz nie wolno obrażać, szczególnie w kraju tak słynnym z grzechności wobec dam. — Przepraszam więc za niekontakt i zadaję inne pytanie: który z muz najchętniej Pan słyszy?

— Oczywiście, Melpomenie. Z tym, że od początku istnienia TV przeczułem niesłychaną jej wagę — zaznacza pan Machowski.

— I dobrze się stało, bo nie tylko garstka widzów teatralnych czy też zawodowych kinomanów ma możność Pana oglądać, ale za jednym zamachem 6 milionów widzów telewizyjnych robi to samo. Na czym polega specyfika aktorstwa telewizyjnego?

— Telewizja dysponuje przede wszystkim większą skalą środków różnorodnością środków, które są o wiele dyskretniejsze i prawdziwsze w sensie tej prawdy życiowej. Ponadto bliskod

ekranu zbliża także widownię i w ten sposób łatwiej nam pokazać to, co rzeczywiście pokazujemy. Na scenie aktor musi się liczyć, że gra dla widza w pierwszym i ostatnim rzędzie. Paradoksem polega więc na tym, że choć w telewizji aktor gra dla milionów (widzów) musi tak grać jakby grał dla jednego widza, który w dodatku ma szklane oczy i w ogóle nie reaguje. Czuje się w tym momencie mniej więcej jak student, który zdaje egzamin u takiego profesora, co z jednakową powagą słucha bzdur jak i rzeczy mądrych.

— Ponieważ skala Pańskiego talentu jest tak rozległa, że na jednym biegunie potrafi zmieścić rolę Pana Boga a na drugim rolę Baurina, czy istnieje między takimi rolami, które by się Pan nie podzielił?

— To zrozumiałe. Na przykład nie podzieliłbym się rolą Guca w Ślubach Panieńskich. Oczywiście ze względu na wiek.

— Należy Pan do najbardziej znanych aktorów w tym kraju. Czy nie uważa Pan, że obok przyjemności, jaką daje popularność, największym wyróżnieniem dla aktora łódzkiego jest przeniesienie go do stolicy?

— Trzeba zacząć od stwierdzenia, że droga z Łodzi do stolicy jest taka sama jak ze stolicy do Łodzi. A poza tym w każdym z aktorów jest coś z wieżęgi. Jeśli chodzi o mnie, to jak Pan określa „uznanie” zdobyłem nie w Warszawie, ale właśnie na prowincji. A pozwolił mi na to nie tylko teatr, ale film, telewizja i radio, które jak wiadomo nie są wyłączną domeną stolicy. Ba, Łódź pod tym względem dała aktorowi nawet większe możliwości wyrażenia się niż Warszawa. Ponadto za pomocą tych środków aktor warszawski czy łódzki dociera pod samą strzechę. Pod warunkiem, że strzecha posiada na dachu antenę telewizyjną.

Piękne dziewczęta na Jamy „Odgłosów“



Fot. A. Kobylński

NOWE USPRAWNIENIA

Do grona licznych usprawnień, ułatwiających życie (autobusy samoobsługowe itp.) doszło jeszcze jedno, z zapalem realizowane. Oto inkasenci rachunków za światło i gaz pojawiają się obecnie w naszych mieszkaniach raz na dwa miesiące. Efekt są następujące:

Jeśli chodzi o inkasentów — odeszli z rejonów, do których byli przyzwyczajeni. Odszukanie liczników zajmuje im obecnie więcej czasu. Podobnie obliczanie podwójnych rachunków i tłumaczenie, dlaczego są takie duże. Zarobki ich się zmniejszyły, gdyż pracują wolniej, a także dlatego, że nie otrzymują pieniędzy na miejscu (od rachunku płaconego w mieszkaniu inkasent otrzymuje 75 gr, od rachunku płaconego w kasie — tylko 50 gr);

Jeśli chodzi o użytkowników — nie są w stanie płacić od razu podwójnych rachunków. Tak jednorazowy wydatek stanowi poważną lukę w budżecie. Mnożą się zaległości, zamiast regulować rachunek inkasentowi ludzie muszą stać w kolejkach w kasie. Tworzą się zatory.

Z usprawnienia, wymyślnego przez Zakład Energetyczny nikt nie jest zadowolony. Najzabawniejsze jednak, że nim je wprowadzono, dokładnie i starannie wypytano zainteresowanych, czy sobie życzą płacić co dwa miesiące. Wszyscy zgodnie odpowiedzieli: NIE.

Po coż więc przeprowadzać ankiety i wywiady? Po coż w prasie ukazywały się artykuły kwestionujące pomysły? Żadki to, doprawdy przykład liczenia się z tzw. opinią publiczną.

NOMEN — OMEN

Gospoda w Nieborowie nazywa się wdzięcznie „Pod Lipami“. W niedzielę 13 maja naliczyliśmy przed nieborowskim pałacem 4 autokary, blisko 100 samochodów osobowych (w tym wiele zagranicznych) i chyba z pół setki motocykli.

Jedyna w tej uczęszczanej przez turystów miejscowości gospoda „Pod Lipami“ oferowała gościom wyłącznie schaboszek z kapustą i żeberka. Kiedy po półgodzinnym oczekiwaniu zaczęliśmy się denerwować co jest z zamówionym „schaboszekiem“, bufetowa oznajmiła: „kucharka zorientowała się, że zabrakło ziemniaków“. A pora była jak najbardziej obiadowa — godz. 14.30. Lipa kwitnie „Pod Lipami“.

Dodajmy, że gospoda jest brudna i zapuszczona, że w bufecie jest wyłącznie chleb i śledzie. Zadumajmy się teraz nad opinią, jaką wyrabiają sobie turyści z całego kraju i zagranicy o tej jednej z dwóch miejscowości „wizytówkowych“ naszego regionu. Wojewódzka Rada Narodowa czeka prawdopodobnie, aż w sprawie wkroczy Rada Ministrów i uchwali specjalny fundusz rozwoju Nieborowa. Obawiamy się jednak, że i to by nie pomogło.

NA GARNUSZKU MAMUSI... I OJCZYZNY

W łódzkich szkołach średnich dla młodzieży nie pracującej kształci się ponad 37 tysięcy uczniów. Jak wykazały obliczenia sporządzone na początku bieżącego roku szkolnego, jest w tej liczbie ponad 4 tysiące uczniów, którzy przekroczyli osiemnasty rok życia.

Pewna część tej grupy, mianowicie słuchacze liceów i techników 5-letnich, mieści się jeszcze w tzw. wieku szkolnym. Jednak przeważająca większość to po prostu repetenci, leniuchy i obiboki.

Pomijając już roczniki młodsze, sporządzmy tylko tabelę szczegółólnie „przerośniętych“. Oto wśród owych 4 tysięcy jest:

22 lata	84
23 „	36
24 „	27
25 lat	17
26 „	58
Razem	222

A zatem ponad 200 ludzi, którzy nie tylko powinni już dawno skończyć szkołę lecz także studia wyższe, powinni podjąć pracę i stać się pożyteczni dla społeczeństwa. Obawiamy się jednak, że do tego już nie są i nie będą zdolni. Ciekawe kto tu bardziej zawinił — szkoła czy dom rodzinny.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka“ * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamawia kopii rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch“ — z zaznaczeniem na „Odgłosy“ * Druk: RSW „Prasa“ — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 1936 V. A.4

ODGŁOSY

tygodnia

TWORZYWA — W PALACU

Efekt jest godny trudu. Tak można by ocenić wystawę w Pałacu Sportowym, która pokazuje wykorzystanie tworzyw sztucznych w różnych działach przemysłu lekkiego. Jej organizatorzy miesiącami gromadzili eksponaty i jeszcze w nocy — na kilka godzin przed otwarciem „użerali się“ z plastykami, którzy w ostatniej chwili podobno mieli największy przypływ inwencji twórczej.

Wystawa podoba nam się (jest czynna do 26 bm.) dlatego, że nawet absolutny laik po jej obejrzeniu zrozumie, o co chodzi. Plansze, napisy i eksponaty są tak dobrane i zharmonizowane, że agituja „za“ stosowaniem tworzyw, odwołując się do estetycznego, ekonomicznego, humanitarnego i użytkowego poczucia widza.

Tę pierwszą rolę pełnią przede wszystkim oryginalne tkaniny i dzianiny-brokaty przetykane złotą i srebrną nitką, imitacje futer o dźwięcznej nazwie „Polam“, niektóre swetry i sukienki, olśniewające w kształcie (niektóre), guziki, płaszcze laminowane pianką poliuretanową — tzn. jak gdyby „podbite“ czymś w rodzaju cienkiej gąbki, bućki damskie i dziecięce — ażurowe wykonane ze specjalnej siatkowej tkaniny itp.

O ekonomicznej potrzebie stosowania tworzyw przekonuje mnogość części do maszyn włókienniczych, różne koła zębate, nakretki, walce, taśmy, cewki, członka, urządzenia niezbędne do wyrobu tkanin, a zaskakująco nazywane: gońce, bice itp. Uzyskane sumy z tytułu oszczędności surowca deficytowego (jak drewno, skóra, metale kolorowe, papier), który zastępuje tworzywo także przemawiają do wyobraźni. Tym bardziej, że ma się kryterium porównawcze: własną pensję. Przemysł czesankowy stosując tworzywa zamiast metali kolorowych osiągnął 11 mln. zł oszczędności. Na jednym krośnie z gońcem z tworzywa zamiast skóry można w ciągu roku zarobić 3100 zł.

Na wystawie są również rzeczy, które świadczą o medycznych możliwościach tworzyw: naczynia krwionośne, gałki oczne, przegrody płucne, powięzi mięśni brzusznych. Te części ekspozycji uzupełniają zdjęcia z operacji, przy której zastosowano wyroby i zdjęcia jednego z operowanych. Laboratorium dziewiarskie, które produkuje te artykuły na użytek ortopedii, okulistyki, laryngologii, chirurgii serca i układu krążenia współpracuje z 54 ośrodkami medycznymi w kraju.

Do humanitarnego poczucia widza odwołują się także eksponaty z dziedziny bhp — ubrania ochronne, rękawice itp. Szkoda, że nie łączą one w sobie i estetycznych walorów w większości są ciężkie i niezgrabne.

Eksponatów, prezentujących czysto użytkowe walory tworzyw, jest wiele: od „naczynia nocnego średniego“, „naczynia nocnego małego“ — jak głosi napis, wykonanych z polistyrenu, poprzez budzące „oskome“ wśród miłośników ładnych wnętrz — płyty laminowane nadające się na meble, do wykładzin w kabinach samolotowych, okrętowych, kolejnictwie itp. do talerzy, pater, zabawek m. in. rakiety i lotki do bedminingtona.

7 zakładów chemicznych i 13 — z przemysłu lekkiego zajmuje się produkcją z tworzyw wspomnianych różności. Oszczędność dewiz, drewna, papieru, skóry, metali, pracochłonności, i... nerwów — tworzywa walczą z hałasem — oto zalety.

Łódzki pomysł — na Morzu Północnym

Parę miesięcy temu pisaliśmy na tym samym miejscu o sieciach bezwęzłowych — rewelacyjnym pomysle łódzkich inżynierów z Instytutu Włókiennictwa. Analiza ekonomiczna wykazała, że sam brak węzłów może przynieść 10 milionów złotych oszczędności rocznie na surowcu. Inne zalety sieci — jak możliwość zwiększenia szybkości statku przy ich użyciu, odporność na rozwarzenie, szybkość produkcji itp. sprawiły, że Związek Radziecki, który ma ogromny przemysł rybny zakupił już ich dokumentację. 1 lipca ma upłynąć ostateczny — i tak za długi termin badań użytkowych sieci. 1200 kg sieci, które dostarczyli ich autorzy Morskiemu Instytutowi „Rybactwu i Przedsiębiorstwu Polowowemu „Gryf“, 250 kg — jakie dostarczyło Instytutowi Rybołówstwa Śródlądowego w Olsztynie zostało wypróbowanych m. in. w zimie na jeziorze Śniardwy — niewody do połowów pod lodem, na wiosnę na jeziorze Niegocin — nierzadko aczupakowe, na Zalewie Wiślanym — żaki węgorzowe, obecnie na Morzu Północnym wypróbowywane są narzędzia połowowe zwane pławnicami (zastawia się je w postaci: ściany — na śledzie).

Inżynierowie w zasadzie zakończyli gros prac nad sieciami. Obecnie pracują jedynie nad pewnym udoskonaleniem techniki ich wytwarzania — chodzi o to, aby była jeszcze bardziej niż jest, wydajna. W niedługim czasie spodziewają się także ostatecznej decyzji władz naczelnych przemysłu lekkiego: czy sieci będzie się produkować czy nie, a jeśli tak — to gdzie. Sytuacja wygląda bowiem następująco: w momencie kiedy sieci bezwęzłowe dopiero się rodziły, wybudowano zakład sieciarski przystosowany technologicznie do produkcji „z węzłami“. Ostatecznie — kto mógł się spodziewać. Pomysł bywałby żłosiwe — gdyby ten „sieciowy“ narodził się przynajmniej pół roku wcześniej — zakład prawdopodobnie byłby przystosowany do nowej techniki wytwarzania. Pewna ilość maszyn do produkcji sieci bezwęzłowych jest w przemyśle dziewiarskim, którego profil nie obejmuje sieci. Poza tym dziewiarstwo umie robić swetry, ale mniej — sieci (te próbne zrobiono dzięki dużym wysiłkom łódzkich zakładów im. H. Sawickiej i zakładów w Legnicy). Zjednoczenie Art. Tech. umie robić sieci węzłowe — ma więc pewne doświadczenie, ale nie ma maszyn. A to jest artykuł dość kłopotliwy — dziesiątki najróżniejszych rodzajów na najróżniejsze ryby. Co zdecyduje Ministerstwo — nie wiadomo. Jest nadzieja, że rozsądnie.

DZIWÓW EKSPORTOWYCH CIĄG DALSZY

Największy udział w ogólnej puli eksportowej towarów przemysłu lekkiego, mają tkaniny bawełniane. Plan eksportu na 1962 rok wyznacza ilość 133 mln. metrów, z czego na fabryki łódzkie przypada 61 mln. metrów. Znaczy to, że nasze miasto partycypuje w ogólnej ilości eksportu tkanin bawełnianych całego przemysłu w 40 proc.

Produkcją tkanin eksportowych zajmują się zakłady, podległe Zjednoczeniu Przemysłu Bawełnianego w Łodzi, a główną i jedyną centralą handlu zagranicznego dla tych towarów jest znane wszystkim dobrze CETEBE z dyrektorem dla spraw eksportu „bawełny“ na czele — Kowalewskim.

Ten jowialny nieco i miły skądinąd pan ma cały eksport tkanin bawełnianych w jednym palcu. Na poczekaniu i na wyrywki potrafi odpowiedzieć na pytania, dotyczące zarówno sytuacji na zagranicznych rynkach jak i panującej w najmniejszej fabryce przemysłu bawełnianego w kraju. Jego zagraniczne wojaże przynoszą w efekcie nie tylko t. zw. furi ciekawych obserwacji, stanowiących osobny rozdział godny pióra dziennikarza, ale i konkretne wyniki ekonomiczne w postaci nowych rynków zbytu.

Po powrocie np. z ostatniej podróży na Haiti dowiedzieliśmy się nie tylko, że Haitianki wysocze sobie ceną polskie kretony, że wielu spośród tamtejszej murzyńskiej ludności nosi rdzennie polskie nazwiska (rezultat wędrówek żołnierzy napoleońskich), ale i że haitański rynek stanowi poważny i nie wykorzystany dotychczas rejon penetracji polskich handlowców.

Płyną więc polskie bajeczne kolorowe płócienniki na Haiti, zyskując nam nie tylko dobrą markę w świecie, ale i nowe dewizy.

Niestety, nie wszystko, co produkujemy w kraju jest tak „cacy“, a sama produkcja jak na tym miejscu już się wzdryga, idzie jak po grudzie. Oto liczby. Czołowi producenci tkanin bawełnianych na eksport, tj. ZPB im. Marchlewskiego i ŁZPB im. Obr. Pokoju wykonały plan „na eksport“ w I kwartale br. zaledwie w 62 proc. Na leć i szczyt pobiła je niewielka fabryczka śląska oraz łódzka Wykończalnia Rudzka.

Na 31 marca br. łódzkie fabryki nie wykonały 16 b. ważnych zamówień, zakontraktowanych przez zagranicznych kupców. ZPB im. Dzierzynskiego wykonały co prawda plan eksportu, ale nie w terminie, podobnie jak i inne jeszcze łódzkie fabryki tej branży. Co gorsza, nadal trwa bezmyślna, olbrzymie szkody przynosząca, produkcja t. zw. odrzutów, tj. tkanin o niezadowalającej jakości. Na koniec ub. roku ilość „odrzutów“ w magazynach przemysłu bawełnianego sięgała 16,5 mln. metrów, zaś w I kwartale br. wzrosła już do 17 mln. metrów.

Znaczy to, że w fabrykach nie dba się należycie o sprawę eksportowej produkcji, że nadzór i kontrola ze strony dyrekcji, majstrów, inżynierów i techników nie stoją na wysokości zadania. W jednym tylko I kwartale br. wskutek nadesłanych i uzasadnionych reklamacji CeTeBe musiała udzielić zagranicznemu odbiorcom bonifikaty, z racji czego trzeba było oddać za darmo 176 tys. metrów tkanin.